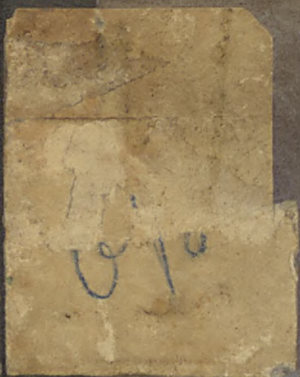




Dodatek do „Kuryera Codziennego„.

WYBÓR POWIEŚCI

Nieboszczyka Pantofla.

przez

LUDWIKA SZTYRMERA.



WARSZAWA.
Drukiem „Kuryera Codziennego"
Krakowskie-Przedmieście 17.
1903.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 декабря 1908 года.



PANTOFEL.

Historya mojego kuzyna.

Il est difficile de décider si l'irresolution rend l'homme plus malheureux que méprisable. Il coute moins à certains hommes de s'enrichir de mille vertus que de se corriger d'un seul défaut... ce vice affaiblit l'eclat de leurs grandes qualités, etampêche qu'ils ne soyent des hommes parfaits.

Labruyère.

Familia, czyli zbiór wszystkich naszych krewnych, podobna jest do biblioteki. Rodząc się na świat, człowiek znajduje już przygotowaną dla siebie tego rodzaju bibliotekę i stopniowo się z nią znajomi. Na pierwszej półce stoją dwie święte dla niego księgi, Stary i Nowy Testament — to ojciec i matka. Dalej z porządku dzieła zbawienne, moralne i pożyteczne — to dziadek, babka, stryj i stryjenka, wuj i wujenka. Dalej w mniejszym formacie dzienniki serca — bracia i siostry. Nareszcie w odleglejszych półkach, Rozmaitości; książki różnego formatu i wydania: nowe i stare,

dobre i złe, przyjemne i nudne, filozofia i mazurki — to obszerny oddział kuzynów i kuzynek Katalog tej biblioteki ciągle się przemienia, dlatego, że czas, obojętny jej bibliotekarz, mało zważając na gusta dziedzica, nieustannie jedne dzieła wyrzuca za okno, a drugie jakieś stawia na półkach. Jest to najniegrzeczniejszy pedant ze wszystkich bibliotekarzy, których miałam honor poznać, i do tego taki tajemniczy w swych działaniach, że mając znaczną bibliotekę, prawie nigdy nie można doprosić się własnych swoich książek; nie można nawet wiedzieć dokładnie, wiele ich się posiada. Szczególniej trudno poznać Rozmaitości. Ot, ja naprzykład, dotąd nie mogę poznajomić się z tą półką, na której, jeśli się nie mylę, znajduje się więcej stu tomów różnego kształtu, wydanych w kilku polskich prowincyach. Udało mi się przypadkiem poznać tylko jedno dzieło, lecz egzemplarz miał tak niepozorną powierzchowność, że bez pomocy bibliotekarza nigdybym nie poznała prawdziwej jego wartości.

Każdy ma swoje dziwactwa; ja, kiedy co opowiadam, lubię zwyczajnie zacząć od końca. Takowa forma opowiadania ma w sobie coś tajemniczego, poetycznego, i może daleko więcej zająć, jak wszelka inna systema. Zresztą dziś nie godzi się inaczej ani mówić, ani pisać. Od czasu wynalezienia romantyczności w Europie, wszystkie powieści, drammy i poemata zaczynają się od końca, a przynajmniej ze środka; dla czegóżbym ja miała was, kochani moi czytelnicy, pozbawiać tej przyjemności, do której zapewne jesteście przyzwyczajeni? Nie myślę być nowatorką, niech mnie Bóg od tego zachowa! Zacznę swoją powieść od końca. Słuchajcie, jeżeli łaska

chodził po pokoju, tarł sobie czoło, niby machinalnie pomagając pamięci wywoływać wspomnienia, i nareszcie zawołał na półz żalem, napół ze śmiechem:

— A to pewnie pan Wincenty W... Gotówbym się założyć, że to on.

Rzeczywiście okazało się, że domysł był trafny.

Pan Wincenty obdarty, biedny, bosy, wszedł do sali, ale tak naturalnie, z taką spokojnością na twarzy, z taką szlachetną nawet dumą, że nikt z nas nie tylko nic myślał o śmiechu, lecz przeciwnie, wszyscy tknięci najżywszą litością, zbliżyli się do nieboraka. Wziąwszy ojca za rękę tak spokojnie, jak gdyby się wczoraj z sobą widzieli, kuzyn nasz wyznał otwarcie, głosem wprawdzie stłumionym, ale bez wszelkiej uniżoności, że straciwszy majątek, siły, a nawet odwagę do zarobienia sobie na kawałek chleba, szuka teraz przytułku u krewnych; [illegible] do których się udawał, odmówili mu, a od nas czeka odpowiedzi. Rozumie się, że był natychmiast przyjęty, posadzony między ojcem i matką i zarzucony pytaniami.

Pan Wincenty był niegdyś w ścisłych stosunkach z papą, ale potem ożeniwszy się, przepadł gdzieś w kaliskiem i siedm lat nie dawał o sobie żadnej wiadomości. Widzieliśmy wszyscy, że ten człowiek był niepospolicie uczony, i dla tego nie zdziwiło to nikogo, kiedy przy wieczerzy, rozczulony dobrem przyjęciem, pan Wincenty prosił rodziców, żeby mu pozwolili okazać swoją wdzięczność przynajmniej poświęceniem się dla dzieci, dopełnieniem i wykształceniem tej edukacyi, którą do togo czasu, odebrały.

— Otóż masz! — szepnęła mi do ucha wesoła moja siostrzyczka — jeszcze jeden nauczyciel! i zaczęła baczniej go obserwować, jak książkę przed wydaniem lekcyi.

Obserwacya była dość krótka. Powoli lekki uśmiech zaczął się formować na jej ustach, oczki zaiskrzyły się dziecinną radością, nachyliła się znów do mnie i rzekła z cicha:

— Leosiu! spojrzyj tylko na niego; on niema wcale profesorskiej miny. Założę się z tobą, że to Pantofel. Ach! jak to wesoło będzie pobawić się z tym kuzynkiem!

Istotnie pan Wincenty miał tak komiczną fizyognomię, że litując się nad jego losem, trzeba się było mimowolnie śmiać z powierzchowności.

Doświadczenie potwierdziło przenikliwą przepowiednię Heleny. W samej rzeczy ona robiła mu codzień tysiąc psot, tysiąc najzabawniejszych figlów, ciągle wychodził [illegible] posłuszeństwa i najpoważniejszego czło[illegible]gła doprowadzić do śmiechu, opowiadając o nim anegdoty. Zresztą ta swawola nigdy nie psuła dobrej między nimi harmonii, bo Helena, jak wszystkie osoby wesołego charakteru, miała najlepsze serce.

Co do mnie, tyle jestem winna temu panu Wincentemu, że nie podobna mi o nim wspomnieć obojętnie. Był to człowiek słabej woli, śmieszny, dziecinny; ale kto go bliżej poznał, zapominał o tych niedołężnościach, cenił go i czuł dla niego prawdziwą przyjaźń. W poufałym dyskursie nie można się było oprzeć porywającej, pełnej światła i zapału wymowie; pełen wiadomości, jedyny do rady, łagodny i słodki w obejściu, zawsze spokojny, zawsze gotów każdemu się przysłużyć. Szacunek, który mu okazywałam, był

zapewne przyczyną tego, że z całej familii mnie najwięcej lubił, moim losem najwięcej się zajmował. Nie miałam prawdziwszego przyjaciela. On oświecił mój rozum, rozszerzył pojęcia, ukształcił serce. Jemu winnam wiele zdrowych i czystych zasad moralności, i wszystkie moje wiadomości w naukach i literaturze. Nie mogę go inaczej nazwać, jak ojcem duchownym.

Przychodzi mi na myśl zdanie jakiegoś autora, że między mężczyzną i kobietą nie może być przyjaźni. O mój Boże! nie byłoby to wcale niepodobnem, gdyby mężczyźni taką drogą, jak pan Wincenty, starali się o kobiecą przyjaźń. Ale, niestety. Ta droga szlachetna, moralna, pokrywająca prawdziwą cywilizacyę, nie wiem czy kiedy przypadnie im do smaku.

Nie chodzą po niej lwy i tygrysy. Ci panowie przyzwyczaili się uważać młodą kobietę za dziecko, za istotę lekkomyślną, z czułem sercem, ale z głową pustą, s[illegible] za piękne cacko, z którem czasami dob[illegible]pędzić nudy umysłu albo nudy serca. Baw[illegible] jak umieją, pochlebiają ile weny starczy, [illegible]ują fraszkami, często nawet umyślnie wpajają nam zdrożne zasady, psują nas i zaślepiają... i zdaje im się, że takim sposobem zasługują na miłość i przyjaźń kobiety! Słusznie powiadają, że miłość jest ślepa; zdarza się bowiem nieraz, że kobieta kocha człowieka, którym wszyscy pogardzają, którymby się brzydziła, gdyby go mogła z zimną krwią rozpatrzyć.

Ale przyjaźń niewieścia ma więcej oczu jak Argus, patrzy dalej jak ostrowidz, nie łudzi się niczem, i dla tego bywa bardzo rzadko. Panowie lwy i tygrysy! raczcie naśladować Pantofla... jeśli możecie.

Pokój jego prochom! cierpienia tej chorowitej duszy już się skończyły. Już on przestał być Pantoflem. W papierach, które po nim zostały, znalazłam tę autobiografię, którą teraz ogłaszam. Może ta spowiedź słabej duszy posłuży komukolwiek z mężczyzn za pożyteczną przestrogę i może wzbudzi w czytelnikach litość nad tym, który całe życie był igrzyskiem obojętności swych bliźnich. Później w miarę możności, będę wydawała inne jego pisma.

Autobiografia Pantofla.

I.

Niemasz przedmiotu, o którymby ludzie więcej rozprawiali, jak o charakterze. Nie przechodzi dnia, żeby najlepszy nawet człowiek, nie wziął na język kilka chodzących charakterów i nie potępił ich, albo nie pochwalił, podług swojego poglądu. Gdyby ten przedmiot rozmowy usunąć jakim cudem z towarzystwa, byłaby to najokropniejsza plaga dla świętych salonowych zgromadzeń.

Osoby słynące dziś z dowcipu, przenikliwości i znajomości świata, straciłyby swoją wziętość, nie miałyby o czem mówić, zostałyby bez głosu, jak starożytne pomniki w pustyniach Egiptu. Dziwna to jednak rzecz, że człowiek zwyczajnie najwięcej lubi dysputować o tem, co najmniej rozumie, albo co zupełnie nie może być zbadanem.

W młodych jeszcze latach słysząc nieustannie powtarzane słowo: charakter, pytałem wielu rozprawiaczów o jego znaczenie. Pytałem prawie do połowy mego życia. Nareszcie widząc, że mi odpowiadają albo zupełnie niestosownie, albo głośnym tylko wystrzałem słów, nie wyrażających żadnej myśli, albo nakoniec pytając mnie nawzajem, jak można tego nie rozumieć? Sam nad tem zacząłem dumać. Prawdę powiedziawszy, było to cokolwiek późno. Zegar mojego życia (jak mówią romantycy) wybił już 30 lat, co ja, nie pojmując co znaczy charakter, nie wiedziałem, czy mój był przyzwoitym lub nie. Nie mogę sobie wybaczyć tej opieszałości. Kto wie, może i teraz przy schyłku życia pojęcia moje niedość się jeszcze ustaliły. Mogę się mylić, ale zdaje mi się, że charakter jest to postać, w której dusza człowieka objawia się w prywatnem i społecznem życiu, albo krócej, jest to nasza moralna fizyognomia. Charakter człowieka wypływa z wzajemnych stosunków między jego rozumem, czułością i wolą. Musi to być jakaś potrawka z mózgu, sera i, jeśli się nie mylę, krwi, żółci i t. p. Ale mniejsza o to, zostawmy te kwestye filozofom salonowym. Ważniejszem jest daleko pytanie, jakim sposobem charakter stopniowo się kształci w człowieku? albo co najwięcej wpływa na nadanie dziecku i rozwinięcie w niem tych głównych przymiotów duszy, które, cechując go później między ludźmi, nigdy się w niem nie wygładzają? Bywają ludzie weseli i smutni, szczebiotliwi i milczący, odważni i lękliwi, rozrzutni i skąpi, czuli i zatwardziali powolni i popędliwi, rozumni i głupi...

Powiedzcież mi, skąd się biorą te sprzeczności, kiedy rodząc się na świat, zdajemy być się

wszyscy jednakowi i tak podobni do siebie, jak młode pisklęta? Nie mogę zgodzić się z tymi, którzy utrzymują, że w dziecku znajduje się już zarodek charakteru człowieka. Jest to fatalizm niezgodny z naszą religią, odejmujący nam wolę, dający każdemu zbrodniarzowi prawo uważać siebie równie niewinnym, jak wilk, który z natury ma popęd do zjadania owiec, jak cegła, co upadłszy z dachu, zabija kogokolwiek na ulicy. Nie sądzę także, żeby wszystko mogło zależeć od wychowania, ponieważ równie troskliwie wychowane dzieci mają później różny charakter, i kto był w młodości otwarty, często w starości bywa skryty. Nareszcie najmniej wierzę tym, którzy mówią, że okoliczności, towarzystwo lub doświadczenie kształcą nasz charakter. Czyliż rozum i wola na to nam tylko dane, żebyśmy całe życie doświadczali wszystkiego? żebyśmy dziś nie widzieli, jak będziemy myśleć jutro? żebyśmy od kolebki do grobu nie szli prostą drogą, lecz odbijając się to na prawo, to na lewo, jak piłka, nad którą student robi doświadczenie sprężystości. Wielkie to jest słowo: doświadczenie, ale pytam was, czy ten tylko bywa skąpy, kto był bliski umrzeć z głodu? albo ci tylko mają kamienne serca, którzy byli zdradzeni w najsłodszych swoich uczuciach? Zapewne każdy zaprzeczy temu. Od czegóż więc zależy charakter? Mnie się zdaje, że od żadnej z wyżej przytoczonych przyczyn wyłącznie, lecz od wszystkich razem, to jest od natury, wychowania i okoliczności społecznego życia. Ja tak myślę, ale nie narzucam nikomu swego zdania; widzę tylko, że to pojęcie charakteru dość trafnie stosuje się do dziwacznej mojej biografii. Zobaczycie sami.

Pierwsze chwile mego życia były napełnione większem cierpieniem, aniżeli to, które jest udziałem każdego dziecka. Matka poczęła mnie w smutku po stracie najstarszej córki, i ostatnie miesiące przepędziła w ciągłej niespokojności o życie męża, a mego ojca, który z pułkiem poszedł na wojnę. Fałszywa wieść o jego śmierci przyśpieszyła chwilę mego przyjścia na świat; lecz niestety urodziłem się tak słabym i nędznym, że długo powątpiewano czy zostanę przy życiu.

Oto wpływ natury, oto pierwsze fizyczne przyczyny, z których uformował się zarodek mego charakteru. Smutek matki przelał się we mnie wprzód, nim mogłem poznać świat i ludzi. W wątłem i chorowitem ciele, przy tak delikatnych i drażliwych nerwach, jak te, które odebrałem z przyrodzenia, mocna dusza nie mogła, że tak powiem, zapuścić korzeni.

Nie bez przyczyny zacni nasi ojcowie powtarzali: „Mens sana in corpore sano“. W samym poranku życia bystro rozwinęła się we mnie jakaś smętność, bojaźliwość, uczucie własnej niemocy, zbyteczna wstydliwość, słowem, wszystkie przymioty ludzi dobrych i tkliwych, lecz słabych i niemających żadnej woli. Nie miałem nawet charakteru żaka! Do kilku lat przyjmowano mnie za dziewczynkę. A matka moja, zaślepiona przywiązaniem bez granic, nazywała mnie gołąbkiem, aniołkiem, cieszyła się, płakała z radości, że syn jej ma taki cichy i słodki charakter; dziękowała Bogu, że mnie nie stworzył szaleńcem, i widziała w tem rękojmię przyszłego mego szczęścia. Jak ona gorliwie, jak pieczołowicie śledziła każdą moją żądzę, każdy kaprys, każde poruszenie! Jak skwapliwie tłumiła każdy wybuch męzkiej duszy,

która i w dziecięciu nawet ma swoje namiętności, swoje wybryki!... Biedna kobieta! O, gdyby wiedziała, jak nędzną rolę gotowała mi w społeczności!...

Najzbawienniejsze usiłowania przynoszą często złe owoce, gdy im nie towarzyszy rozwaga. W zdroju nawet macierzyńskiej miłości może być trucizna dla dziecka. Matka moja, będąc bardzo nabożna, starała się z niemowlęcych lat zaszczepić we mnie religię. Swięty, chwalebny był jej zamiar, pobudki najczystsze, tylko wykonanie było zbyt skwapliwe i nieostrożne. Nie radząc się osób duchownych, a poddawszy się jakiejś bojaźni, ażebym nie był obojętnym w wierze, mówiła mi na nieszczęście daleko więcej o Bogu karzącym występki, jak o miłosiernym Ojcu wszystkich grzeszników. Nauki jej napełniałyby mnie strachem. Naturalna bojaźliwość mego charakteru jeszcze więcej się powiększyła. Nie mając pojęcia o występkach, sądziłem, że za każdą dziecinną swawolę czekają mnie wieczne męki piekielne i będąc jeszcze żakiem, nieraz ze drżeniem i trwogą myślałem o śmierci, i sądzie ostatecznym. Z drugiej strony smętność moją podsycały i rozwijały często rozmowy z matką o niebezpieczeństwach, w których się znajduje ojciec, wspólne nasze łzy i szlochania, samotność domowa, brak równych ze mną lat towarzyszy, odludne przechadzki i tysiąc innych okoliczności. W szóstym roku życia najwięcej mnie zajmowały lasy, wody, dzikie miejsca, egzekwie, pogrzeby, a szczególnie cmentarze. Ludzi widywałem niewiele, i tym ni pozwalano mi się naprzykrzać dziecięcą rozmow

Zresztą byli to ludzie dorośli, poważni, nie dla mego towarzystwa. Wolałem być samotny albo z matką

Taki był stan mojego charakteru, kiedy ojciec z krzyżami, ranami i dymisyą powrócił z długiej wojny na łono familii. Przyjazd jego, zamiast sprowadzić mi radość, napełnił mnie strachem, i przyznam się, że nie moglo być inaczej. Matka zawsze tak dobra i łagodna dla mnie, nagadała mi tyle o uszanowaniu dla ojca, o posłuszeństwie i innych obowiązkach synowskich, przygotowywała mnie tak solennie jak mam przyjąć rodzica, że ujrzawszy przed sobą tego człowieka, mimowolnie zadrżałem. Pierwsze to wrażenie zostało we mnie na zawsze, i z czasem jeszcze się powiększyło. Ojciec mój był to mąż srogiego i nieugiętego charakteru; samowładny w familii, jak komendant w oblężonej twierdzy, chociaż w istocie bardzo dobrego serca, i nawet łagodny, kiedy jego maksymy nie stawały mu na przeszkodzie.

Kilka razy zdarzyło mi się dostrzedz łzę w jego oku, lecz w takich razach natychmiast zwracał twarz w inną stronę i zaczynał drugą rozmowę, ażeby nikt nie widział go rozrzewnionym. Podług jego zasad, mężczyzna nigdy w życiu nie powinien płakać, chyba korząc się przed Bogiem i żałując za swoje grzechy. Smutek ziemski i radość, jako rzeczy przemijające, mogą wyprzec z kolei zwyczajnej spokojności tylką słabą duszę, dziecko, albo kobietę. Zdawałoby się, że zapatrywanie się na takiego męża, powinno było obudzić we mnie samodzielny charakter, lecz na nieszczęście, stało się przeciwnie. Nie będąc zdolnym pojąć pięknej strony charakteru zacnego mego rodzica, a porównywając go zawsze z tkl-

wą moją matką, bałem go się coraz więcej. Nieznacznie ta bojaźń rozciągnęła się w ogólności na wszystkich dorosłych mężczyzn.

Wkrótce potem zamieszkała u nas starsza siostra mego ojca, podeszłych lat panna, i ni stąd ni z owąd zrobiła się moją guwernantką. Nie mogę o niej wspomnieć bez przestrachu. Najsroższy bakałarz jest daleko więcej pobłażający, niż stara panna. Mój Boże! czego też ja nie wycierpiałem! Za każdem mojem poruszeniem następował morał, za każdem odezwaniem się, przestroga. Mówiła tak wiele, tak prędko i tak różnotonnym głosem, że turkot młyna albo tartaka byłby dla mnie daleko znośniejszym. I rodzice moi nie byli wolni od jej kazań; a cóż ja biedny chłopiec? Godziny nauk były jedynem mojem szczęściem i odpoczynkiem. Lękałem się odejść od książki. Naturalnym skutkiem tego było, że uczyłem się gorliwie, zdolności moje rozwijały się bystro, wszyscy nauczyciele byli ze mnie kontenci. Nic dziwnego! wszak to był jedyny mój tryumf w domu. Temu zbiegowi okoliczności i łasce Bożej, która nawet w strapieniu rzuca ziarno pociechy, winienem zapewne zapał do nauk, który potem nigdy mnie nie odstępował wśród najboleśniejszych zawichrzeń mego życia.

Nie pojmowałem wcale, jakie zdrożności w mojem postępowaniu najwięcej zastraszały ciotkę; widać jednak, że musiała dostrzedz we mnie wielką skłonność do zarozumiałości, najwięcej bowiem mówiła mi o tem jak nieprzyzwoicie młodemu chłopcu szczebiotać w obecności starszych, mięszać się do ich rozmowy, odzywać się ze swojem zdaniem i t. d.

O! ta wymowna kobieta aż nadto oduczyła mnie od tej wady jeśli istotnie ją miałem.

Po kilku miesiącach pieczołowitego jej nadzoru zrobiłem się cichy i skromny, jak baranek. Gdyby nie lekcya i kiedy niekiedy rozmowa z matką, byłbym zapomniał mówić; zostałaby mi tylko zdolność odpowiadać jak najkrócej na zapytania. Słowem, wychowanie domowe pod sterem ciotki coraz więcej czyniło mnie podobnym do machiny. Pytano mnie czy chcę jeść? pić? spać? i t. d. i nie chciało mi się ani jeść, ani pić, ani spać, dopóki mnie o to nie spytano. Nie miałem żadnej żądzy, żadnej woli. Dziwna rzecz, że to ojcu się podobało. Doświadczywszy w służbie i w prywatnem życiu wielu nieprzyjemności z powodu żywego charakteru, nie tylko nie potępiał mojej powolności, lecz przeciwnie, jakby zmówiwszy się z ciotką, wzbraniał mi wszelkiej swawoli tyle właściwej dziecinnemu wiekowi.

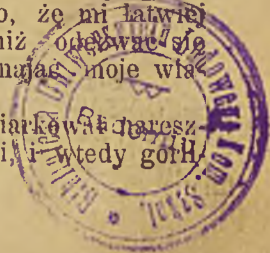
Kierowano mnie zupełnie na uczonego niemca.

Dla skuteczniejszego zachowania mej duszy od dumy, zabroniono mi rozkazywać służącym, i w razie potrzeby, kazano jaknajgrzeczniej prosić ich o każdą usługę. Ludzie ci prości, nieokrzesani, nie pojmując celu tego postanowienia, a widząc mnie pokornie błagającego o każdą drobnostkę, powoli odmówili mi zupełnie szacunku, pogardzali mną, przestali zwracać uwagę na moje prośby, i często nie mogłem u nich wyżebrać szklanki wody do napicia się! Upokorzony, zdeptany w prochu, wylewałem smutnie gorzkie łzy w zakątkach rodzicielskiego domu! Ojcu ani ciotce nie śmiałem wyjawić swych cierpień, a matkę—a matkę moją tak mocno kochałem, ona i bez tego tyle ubolewała nade mną, że nie

chcąc powiększać jej żalu, wolałem przed nią taić całą moją nędzę. Towarzysz młodości byłby dla mnie skarbem, ale nie miałem żadnego, bo ojciec bynajmniej nie życzył sobie, ażebym zabierał znajomości ze swawolnikami.

Kiedy takim sposobem pierwiastek woli ulatniał się coraz więcej z mej duszy, a tkliwość rozwijała się w sercu jak samotny kwiat na pustyni, wzamian tego umysł mój, jak już mówiłem czynił olbrzymie w naukach postępy. Ojciec sam posiadał bardzo obszerne wiadomości i był pierwszym moim mentorem, ale nie przestając na tem, dobrał mi prawdziwie oświeconych nauczycieli. W czternastym roku życia, mogę powiedzieć bez chluby, byłem więcej wykształcony niż wielu innych w dwudziestu ośmiu, Wszakże znajomi zupełnie temu nie wierzyli, i nie można było brać im tego za złe. Kto z nas chętnie uwierzy, żeby człowiek chodzący w łachmanach, miał znaczny kapitał u siebie w domu albo w banku? chociaż każdy zgadza się, że to być może. Ja zupełnie byłem podobny do takiego bogacza. Przytłoczony pokorą, skrępowany bojaźliwością, nie śmiałem ust otworzyć w przytomności obcych ludzi. Kiedy mnie pytano: gdzie się znajduje Petersburg? milczałem, jak gdybym nigdy nie słyszał o tem mieście.—No, cóż?—mówiono mi—czy nie w Austryi przypadkiem?...—W Austryi—odpowiedziałem zcicha, nie dla tego, żebym nie znał geografii państwa rossyjskiego, ale dla tego, że mi łatwiej było powtórzyć cudze słowa, niż odzywać się z własną odpowiedzią. Ojciec, znając moje wiadomości unosił się gniewem.

Po kilku takich scenach zmiarkował nareszcie, że charakter mój zbyt miękki, i wtedy gorli



wie zaczął mnie przerabiać na mężczyznę, lecz już było zapóźno. Uwagi jego, którym towarzyszyła zapalczywość lub zbyt ostre sarkazmy, tem mocniej przygniotły mnie do ziemi.

Zostawał jeszcze jeden środek — wychowanie publiczne. Chociaż z odebraną edukacyą mogłem wstąpić prosto do uniwersytetu, jednakże ojciec, nie chcąc mnie wysyłać zbyt daleko od domu, a pragnąc, żebym choć rok przepędził między młodzieżą, oddał mnie do konwiktu. Okropna to była chwila, kiedy pierwszy raz ujrzałem się w zupełnie obcem dla mnie towarzystwie! Cała ta zgraja młodzieży śmiałej, wesołej i swawolnej, w mgnieniu oka odgadła mój charakter i tysiącznemi figlami zaczęła mi doskwierać. Wszystkie te szalone głowy pracowały nad tem, jakby mi dokuczyć, i coraz nowe wynajdywały psoty.

Cały pierwszy tydzień byłem podobny do zająca, tylko co przyprowadzonego z lasu i puszczonego w ogrodzie młodym pieskom na zabawkę. Każda wolna od nauk chwila, pozbawiała mnie spokojności i przynosiła mi gorzkie łzy i cierpienia. Lecz jak nic w świecie długo nie bawi ani dzieci, ani ludzi, tak towarzysze moi, nacieszywszy się, porzucili bezbronną ofiarę swego szyderstwa, wzgardzili mną i prawie zapomnieli, że jestem na pensyi. Czasami tylko, kiedy im brakowało innej rozrywki, wracali do mnie na chwilę, pomęczyli i znów był pokój. Już wtedy będąc igraszką całej pensyj, cierpiąc tyle obelg, wpadłem na myśl: że mężczyzna bez siły fizycznej, a szczególniej bez charakteru, jest nędzną, godną litości istotą. Sprawiedliwość tej myśli potwierdziło całe moje życie.

Między wszystkiemi moimi towarzyszami był tylko jeden, co się dość łagodnie obchodził ze mną, a przynajmniej daleko lepiej, niż drudzy. Nie pamiętam już z jakiego powodu, ale raz w poufałej rozmowie, Albert nazwał mnie przyjacielem. Mój Boże! to jedno słowo uczyniło na mnie tak słodkie wrażenie, obudziło w mem sercu tyle szczęścia, tyle rozkosznych wzruszeń, że mimowolnie rzuciłem mu się na szyję, oblałem go łzami, całowałem, drżałem cały z radości. Ja — samotny, odepchnięty, wzgardzony od wszystkich, miałem nareszcie przyjaciela! Za wszystkie moje męki, za łzy wylane skrycie, Bóg miłosierny zsyłał mi nakoniec nagrodę, przewyższającą najświetniejsze nawet wzloty mojej wyobraźni. W tej chwili gotów byłem oddać życie za Alberta; kochałem go więcej, niż matkę. Nigdy goręcej nie modliłem się do Boga, jak w ten wieczór.

Był to miesiąc przed półrocznym egzaminem. Albert nie posiadał wielkich zdolności, owszem, głowę miał tępą; był to chłopiec ambitny, chciało mu się koniecznie stanąć wyżej od swoich kolegów. Nieznacznie zaczął rozporządzać moim czasem, dawał mi swoje zeszyty do przepisywania, temy do zrobienia, matematyczne zagadnienia do rozwiązania, budził mnie w nocy, ażebym tłómaczył mu to, czego nie rozumiał, zajmował mnie na spacerze, słowem, przemienił mnie w swego guwernera. Nietylko, że nie widziałem w tem nic złego, ale owszem, przywiązywało mnie to jeszcze więcej do niego. Słodko mi było pomyśleć, że mogę być pożytecznym memu przyjacielowi. A przytem, byłem spokojnym od napaści drugich kolegów, co także nie mało znaczyło. Błogie te chwile pierwszego szczęścia w życiu

zbyt krótko trwały. Mozolna praca nad Albertem nadwyrężyła słabe moje zdrowie, ciągłe siedzenie i bezsenność przed samym końcem egzaminu, wpędziły mnie w gorączkę. Nie widziałem, jak mój Albert publicznie odebrał nagrodę. W infirmeryi dowiedziałem się, że stanął wyżej ode mnie i odebrał pierwszy wieniec. Kochałem go tak mocno, że moja miłość własna bynajmniej tem nie była obrażona; przeciwnie, pomyślność przyjaciela, do której tyle się przyłożyłem, daleko mi była milszą, niż gdyby spotkała mnie samego.

Przyszedłszy w połowie do zdrowia, wypisałem się natychmiast z infirmeryi, ażeby prędzej być znowu z Albertem. Pobiegłem do niego i chciałem mu się rzucić na szyję; ale jakież było moje zdziwienie, kiedy mnie przywitał jeszcze gorzej, niż inni towarzysze! Ledwie nie zemdlałem z boleści. Widziałem, że wszystko się skończyło między nami. Albert dawno już rozerwał tę czarującą nitkę przyjaźni, na której trzymało się moje ulotne szczęście. Koledzy szydzili z niego, że się dorobił nagrody przez pomoc istoty, którą gardziła cała pensya i Albert jak każdy samolub. oburzył się przeciw prawdzie. Żeby się otrząsnąć z tego krzywdzącego domysłu, wybrał najprostszy, chociaż najhaniebniejszy środek—postanowił mnie więcej od innych prześladować. Nie dziwię się temu; tak postępują nietylko dzieci, ale i ludzie dorośli. Taką monetą płacą się zwykle długi wdzięczności. Dawny mój przyjaciel zrobił się najzaciętszym moim wrogiem. Wypiłem z jego rąk gorzki kielich! Kto się nie wychował między młodzieżą, nie pojmie nigdy tych cierpień, których słabe i ciche dziecko może doświadczyć

od mocnego i złośliwego, a nieodstępnie dybiącego za nim w tropy. Byłem jakby w rodzaju waryacyi. Nie wiem jak mogłem wytrwać pierwszy tydzień zapamiętałości Alberta. Potem przyzwyczaiłem się powoli, a on też powoli ochłonął z gniewu.

Pierwszy ten zawód w najsłodszych moich uczuciach sprawił na mnie tak mocne wrażenie, że odtąd zwątpiłem o przyjaźni. Zdało mi się, że jestem zbyt upośledzony, zbyt niższy od innych ludzi, ażeby ktokolwiek mógł się do mnie przywiązać. Chodziło mi tylko o to, żeby mnie cierpiano. Stanąłem w pokorze na równi z indyjskim parią.

Złośliwość Alberta nadała mi przydomek, o którym niepodobna mi tu zamilczeć. Jeden z młodzieży, biegając po podwórzu, znalazł gdzieś stary pantofel i rzucił nim na Alberta.

Dawny mój przyjaciel, który teraz ciągle myślał o tem, jakby mi dokuczyć, podskoczył z radości, zobaczywszy brzydki chodak. Zły duch podszepnął mu oryginalną myśl do nowej psoty. Na moje nieszczęście, cała pensya była na dworze. Albert uwiązał chodak na sznurku, zebrał ogromną zgraję młodzieży i cicho podkradłszy się do mnie z tyłu, powiesił mi go na szyi. W mgnieniu oka otoczyli mnie jego wspólnicy, on mnie trzymał za ręce, a cała banda, skacząc wokoło, zaczęła krzyczeć przeraźliwie:

— Pantofel! Pantofel! a witajże nam, witaj, wielki nasz Pantoflu!

Na miejscu solennie uradzono, ażeby ten przydomek zastąpił odtąd moje nazwisko.

Takim sposobem zostałem mianowany na go-

dność Pantofla, którą miałem honor piastować całe życie.

Istotnie, od tego czasa nazwisko moje zostało prawie zapomnianem na pensyi, a nazywano mnie prosto Pantoflem. Ja sam powoli tak się do tego przyzwyczaiłem, że kiedy kto zawołał: Pantofel!—odzywałem się, wiedząc, że mnie wołają.

Kiedy słyszałem to słowo wymówione z cicha, odwracałem się nieznacznie w tę stronę i starałem się podsłuchać, co o mnie mówią. bo to znaczyło zwyczajnie, że mi chcą zrobić jakiego figla.

Nareszcie własne nazwisko stało się dla mnie do tego stopnia obcem, że często, kiedy profesor zapytywał pana W., nie zwracałem na to żadnej uwagi, dopóki obok siedzący towarzysz nie trącił mnie łokciem, mówiąc:

— No, Pantofel, wstańże, pytają ciebie.

Zresztą te przezwiska są rzeczą bardzo pospolitą w naszym narodzie. Nic dziwnego, że się do nich przyzwyczajamy, bo kto z nas w szkołach nie miał przydomku? kto ich nie wymyślał dla swoich kolegów i profesorów? W dojrzalszym nawet wieku znajomi nasi odbierają przydomki: filozofa, marzyciela, lisa, szarmanta, totumfackiego i t. d. Często, jako znak przyjaźni lub łaski, nazwiska kończące się na ski, wykręcamy w poufałej rozmowie na us i nikt się o to nie gniewa, co w innym kraju byłoby uważane za ubliżenie.

Robię te uwagi dla tego, żeby się nikt mocno nie martwił, jeśli go kiedy nazwą Pantoflem.

Czas idzie szybkim lub wolnym krokiem, ale ma przynajmniej tę cnotę, że się nigdy nie zatrzymuje na miejscu. Ten długi rok pobytu an

pensyi skończył się nareszcie, i w jeden piękny poranek ujrzałem się znowu w domu moich rodziców... takim samym niedołęgą, jak z niego wyjechałem, gorszym nawet, bo wróciłem Pantoflem.

Czy to, mówiąc jak turcy, Diwy napisały mi na czole to nazwisko, czy też podobno rodzic mój dowiedział się wprzód o tem, że mi dano ten przydomek, dość, że stary wojak zaledwie spojrzawszy na mnie, zaledwie mnie przywitawszy, odstąpił kilka kroków w tył i na pół z gniewem, na pół z żałością zawołał:

— Święty Antoni Padewski! cóż to za Pantofel! Szkoda czasu i pieniędzy!

Miał racyę. Jedno i drugie było napróżno stracone, a synek miał wkrótce zacząć siedmnasty rok. Potarłszy sobie czoło, pochodziwszy po pokoju, ojciec rzekł do mnie:

— Już ja teraz sam zacznę acpana edukować po wojskowemu. Zahartuję ja ciebie, mój ołowiany dziadku! Będziesz mi waszeć większym zuchem, niż ułani pierwszego pułku, w którym miałem honor służyć. A były tam zuchy, nielada, mospanie! Przygotuj się.

Dobra moja matka zbladła, ciotka nawet się przestraszyła. Istotnie zaczął swoje dzieło niebawem, lecz lekarstwa, któremi spodziewał się zahartować mój charakter, były tak niewłaściwe, dozy tak nieumiarkowane i skutki ich tak gwałtowne, że ta kuracya ledwie mnie do grobu nie wpędziła. Obecność moja w domu zamiast radości, pokryła wszystkie twarze smutkiem i zakłóciła zwykłą spokojność familii. Ojciec coraz więcej przekonywał się o tem, że późno zaczał pro-

stować moje wady i sprawiedliwie obawiał się, że zostanę na zawsze takim, jakim byłem.

Ta mocna dusza oburzała się na samą myśl, że potomka rodu W..skich, znanego powszechnie z szlachetnego i nieugiętego charakteru, będą kiedyś nazywać Pantoflem!

— W ciągu trzech wieków—mówił mi często prawie ze łzami — nie było ani jednego pantofla w naszym rodzie; żaden członek naszej familii nie uniżył się nawet do tego, żeby swoję stopę oszpecił pantoflem; ani ja, ani moi służący nie noszą pantofli, a waćpan chcesz swoje nazwisko, tę drogą spuściznę przodków, którą odebrałeś czystą i bez wszelkiej zmazy — to nazwisko, mówię, że chcesz przenieść na pantofel; bo wierz mi, tak cię będą zawsze nazywać, jeśli nie nabierzesz więcej charakteru,

Matka, tego nie pojmując, żeby powolność mogła mieć złe skutki, płakała na srogość ojca, to znów wierząc ślepo wszystkim jego przepowiedniom, wylewała łzy nademną, jak nad zgubionym człowiekiem.

Siostry, widząc smutek rodziców, szlochały od rana do wieczora; nawet słudzy domowi nie mogli patrzeć na mnie bez rozrzewnienia. Co się wtenczas działo w mem sercu, tego najwymowniejsze pióro nie jest w stanie opisać.

Tkliwość moja oburzała się na ojcowskie postępowanie. Myślałem sobie, że obcy ludzie mogą mnie prześladować bez przyczyny, dręczyć mnie i urągać się nademną; ale ojciec, chociażby dla najzbawienniejszego celu, nie powinien być tyranem swojego syna, wlewać mu truciznę w serce i deptać go nogami w błocie.

Okropne to były dumy, ale stokroć okro-

pniejszą była myśl, że ja, ja jeden stałem się przyczyną smutku całej familii, że matka moja, czuła, dobra moja matka, od łez i zmartwień widocznie upadała na zdrowiu!

Być zabójcą matki!... być występniejszym od Kaina! na samo wspomnienie o tem, krew to lodowaciała w moich żyłach, to gwałtownie rzucała się do głowy. Zdawało mi się, że mózg mój roztopiony piekielnemi ogniami, wzdymał się, burzył, kłębił się pod czapką, jak fale potoku przedzierające się pomiędzy skałami. Myślałem co chwila, że głowa moja rozpęknie się jak bomba i kawałki jej rozlecą się na wszystkie strony. Inny dostałby może pomieszania, lecz umysł mój był daleko mocniejszy od ciała — wpadłem tylko w niebezpieczną gorączkę.

Marzenia gorączkowych bywają rozmaite.

Czasami natura, jakby litując się nad cierpiącym, kształtuje w obłąkanej wyobraźni tak czarujące, tak cudowne obrazy szczęścia, obudza w duszy tak słodkie przeczucia lepszego życia za mogiłą, że człowiek po tej fantastycznej dramie choroby, przychodząc do zdrowia, żałuje swojego obłąkania, jakby rzeczywistej straty. Ja nie miałem w boleściach i tej osłody—dusza moja i ciało razem chorowały.

Najdziwaczniejsze widma imaginacyi, jakby całą zgraję wywołano z piekła, snuły się ciągle przed mojemi oczyma; a znajdując się w tym niepojętym stanie, który zajmuje środek między czuwaniem i snem, albo jeszcze ściślej mówiąc, między życiem i śmiercią, próżno wysilałem się wyjść z tego bolesnego letargu. Z tych okropnych scen gorączkowej fantazyi, jedna dotąd nie zatarła się w mej pamięci.

W ciszy nocnej zdało mi się widzieć śmiertelnie chorą matkę na łóżku, nie daleko od tego, na ktorem sam leżałem; obok niej stał wielki zegar, na którym zamiast skazówki, poruszał się zwolna szkolny pantofel, a przy zegarze stał Albert i pokazując na niego palcem, mówił mi z dzikim uśmiechem, że gdy pantofel dojdzie do 12, matka moja skona.

O Boże! już 10, już 11, już prawie pół do 12, matka moja coraz więcej blada... już zamknęła oczy... już nie daje żadnego znaku życia, a złowieszczy pantofel ciągle postępuje naprzód. Chcę się zerwać z łóżka, żeby go zatrzymać, żeby go wyrzucić za okno, a niemoc nie pozwala mi palcem nawet poruszyć!...

Albert głośno, dziko, jak szatan się śmieje... Wtem gęsta pomroka zalega cały pokój, wszystko niknie przed memi oczyma i po niejakim czasie wszystko znów zaczyna się od początku.

Staraniem doktorów, a jeszcze więcej troskliwością matki doprowadzony do zdrowia, wkrótce potem wstąpiłem do uniwersytetu.

Na nieszczęście, kilku moich towarzyszów z pensyi wybrało ten zawód i przydomek mój zrobił się głośnym. Nowi moi koledzy oddali sprawiedliwość młodzieży, która mnie tak trafnie nazwała, dodając jednak, że Albertowi pomógł przypadek, a oni bez przypadku wpadliby na tę myśl.

Jakkolwiek bądź, od tego czasu zawsze i wszędzie nazywano mnie Pantoflem, i dziś, kiedy to piszę, kuzynka moja Helena, najlepsza dziewczyna, wesoła jak koteczka, przebiegła przez pokój, pytając na wiatr:

— Ma chère Pantoufle! que faites vous de bon?...

Po mojej śmierci zamiast grobowego napisu swawolnik jaki położy może pantofel na mojej mogile. Wtedy niezawodnie nawet ci, którzy czytać nie umieją, powiedzą:—Tu leży Pantofel.

Ale wracając do tamtego czasu, wiadomo wam już, moi czytelnicy, że byłem przyzwaczojonym do tego przydomku, i wszyscy, co mnie otaczali, jakby dla skrócenia, często bez żadnej złośliwości, nazywali mnie Pantoflem.

W Warszawie ludzie w tym domu, w którym mieszkałem, pokazywali każdemu, kto pytał o Pantofla, drzwi mojego pokoju; na prowincyi pocztyljon obojętnie przynosił mi listy adresowane do WImci pana Wincentego Pantofla. Ja sam żartami nieraz tak się podpisywałem. Jedne tylko kobiety okazywały mi powierzchowną grzeczność w rozmowie, ale uśmiech i spojrzenie aż nadto dobrze wyrażały to, czego nie wymawiały usta.

Mężczyzna nędzną, zaiste, gra rolę, kiedy przez niedostatek rozumu staje się igraszką kobiet; ale daleko więcej godzien litości ten, o którego rozsądku nie wątpią kobiety, lecz zapominają! Najszacowniejsze przymioty, ukryte w Pantoflu, niczem są dla nich i jeśli kobieta zwróci uwagę na takiego mężczyznę, to tylko dla tego, żeby pobawić się z nim, jak z figlarnym szpicem. Głupiemu zdaje się, że wszystkie kobiety szalenie się w nim kochają; rozsądny głęboko czuje swoje uniżenie.

Każdy przyzna zapewne, że gdyby był na miejscu mojego ojca, to nie łatwo by się domyślił, jaki obrać dla mnie zawód w społeczności. Bóg uwolnił moich rodziców od tego ciężkiego obowiązku, powoławszy ich obojga do wieczności

jeszcze przed wyjściem mojem z uniwersytetu. Strata ojca dotknęła mnie bardzo mocno, ale śmierć matki była dla mnie nieporównanie boleśniejsza! To było prawdziwe dla mnie nieszczęście. Od tej chwili, jak została wdową, przywykłem pieścić się myślą, że wkrótce będę mógł zupełnie się poświęcić dla tej, która, oddawszy ziemi męża i siostry moje, zdawało się, że dla tego tylko została na tym świecie, że ja jeszcze żyłem. Serce matki jest tajemniczem źródłem miłości; czerpajcie z niego ile chcecie; jeśli tylko nie wszystko weźmiecie, natychmiast znów będzie pełne! Każda matka patrzy na swoje dziecię, jak owa starożytna Sybilla na swe księgi—im więcej ich ginie, tem droższe te co zostają. O! wiele szczęścia, wiele pociechy, wiele użytecznych rad przytłoczył ten kamień, pod którym spoczęły jej prochy! Jestem pewny, że gdyby los był mi ją zachował, mniejbym był spotkał cierni na drodze życia.

Na jej mogile łudząc się słodką myślą, że dusza matki będzie na mniej, milej spoglądała z lepszego świata, i może mnie natchnie zbawiennem postanowieniem, zacząłem rozmyślać o swojej przyszłości. Smutne to dumy, kiedy młodzieniec zastanawia się nad tem, co z sobą począć?

Majątek pozostały po rodzicach był zbyt szczupły, ażebym się mógł obejść bez urzędu; ale jaki wybrać zawód? oto była wielka zagadka. Do duchownego stanu nie czułem powołania, do wojskowego Pantofel nie może mieć pretensyi; na innych drogach były także przeszkody; zostało mi więc tylko starać się o urząd cywilny. I w tym zawodzie przewidywałem, że mój nieszczęśliwy charakter będzie mi nieustannie zawadą dla przy-

zwoitego wypełnienia obowiązków; żeby więc według możności zmniejszyć niebezpieczeństwo, poświęciłem swoją miłość własną, wyrzekłem się wszystkich wygód, jakich podług moich zdolności należało mi się spodziewać służąc w Warszawie i postanowiłem zająć skromne miejsce na prowincyi. Najwłaściwiej dla mnie byłoby oddać się naukom, ale wiadomo każdemu, że ten zawód więcej może przynieść chwały, niż chleba; nie mogłem więc poświęcić mu się wyłącznie.

Nie będę opisywał urzędowania mojego w różnych miastach kraju, albowiem wszystko, cobym mógł w tym względzie powiedzieć, zawiera się w kilku słowach—wszędzie byłem Pantoflem, i nigdzie nie mogłem długo utrzymać się na miejscu. Urzędnik bez charakteru podobny jest do człowieka śpiącego; może on mieć i zdatność, i uczciwość, gorliwość, ale jakiż z nich użytek? Smutny mój przykład niechaj przekona każdego młodego człowieka, że dla piastowania publicznego urzędu niedość być uczonym. Kilka dzieł napisanych przezemnie w tym czasie ziomkowie dotąd cenią, a każdy żyd, który znał w Węgrowie komornika W·· po, mówi zapewne i teraz:—Ech! jaki to buł Pantofel!—Traciłem jedno miejsce po drugiem, i z całą moją uczonością byłbym doszedł do nędzy, gdyby niespodziewanie nie przemienił się mój los. Bogaty stryj, którego ledwie znałem, straciwszy żonę i syna jedynaka, umarł w krótce po nich i zapisał mi cały swój majątek w Kaliskiem.

W ciągu dziesięciu lat przerywanego i ze wszystkich względów nieszczęśliwego urzędowania, znajdowałem tylko pociechę w naukach i li-

teraturze. O, ileż słodkich chwil przepędzałem w ciszy mojego gabinetu nad badaniem tajemnic natury, albo w smętnych dumach o świecie idealnym, o ludziach wymyślonych przez poetów, o sercach tkliwych, bijących dla miłości, przyjaźni, prawdy, sławy i przepełnionych temi wielkiemi uczuciami, które tak rzakko spotykamy w towarzystwie! Strudzony pracą spieszyłem za miasto na samotną przechadzkę do lasu, gdzie melancholiczny szum drzew przemawiał do mej duszy tajemniczym głosem przyrodzenia; kołysałem się w czółnie, samotny na wodzie, i błądziłem bez celu przy świetle księżyca. W towarzystwach bywałem rzadko, bo czegóż tam miałem szukać? Zapraszano mnie najwięcej dla tego, że spotykałem prawie wszędzie dawnych kolegów i znajomych mojego ojca, lecz w salonach jedni gardzili mną, jak prawdziwym pantoflem, drudzy wiedząc z gazet i księgarskich katalogów o moich dziełach, a chcąc pokazać swoją uczoność, nudzili mnie najniedorzeczniejszemi dysputami.

Jest rodzaj ludzi, nad których nie znam nic nieznośniejszego w świecie; pełno ich teraz wszędzie, zaczynając od salonu do skromnej izby szlachcica. Nie wiem prawdziwie jakby ich nazwać. Oni oświeceni dla tego, że mają mniej lub więcej wiadomości w naukach, i nieoświeceni dla tego, że często nie wiedzą i nie pojmują tego, czego się uczą dzieci w szkołach powiatowych; oni lubią oświecenie, ponieważ czytają w gazetach wszystkie naukowe nowości i nie lubią oświecenia, albowiem nie rozumiejąc żadnej gałęzi ludzkich wiadomości, nie starają się przez gorliwą pracę nabyć dokładnego pojęcia o każdym przedmiocie: oni zarozumiali bez

granic dla tego, że rozprawiają stanowczo o tem, czego zupełnie nie pojmują, i powolni, albowiem często wierzą największym bredniom. Ci panowie, tyle przekonani o swojej mądrości, tak zawzięcie gotowi sprzeczać się, tak głośno dowodzić i tak snadnie sobie wymyślają cytacye z dzieł napisanych w języku, którego nie posiadają, że nikomu nie życzę w przytomności drugich osób pokusić się z nimi na dysputę, jeśli nie chce, ażeby go wszyscy przyjęli za wielkiego nieuka. Jak często zdarzało mi się słyszeć tysiąc niedorzecznych zdań o charakterze poezyi Göthego od człowieka, który z całego języka niemieckiego rozumie tylko: „Gut morgen“, a tłómaczeń nie czytał. Ledwie uwolnię się od tego pana, przychodzi drugi, nie pojmujący dobrze arytmetyki i powiada z przekąsem, że teraz odkryto wiele omyłek w matematycznych i fizycznych wynalazkach Newtona, że ten anglik Newton był sobie bezbożnik i prowadził rozwiązłe życie; za to Pitagoras był zupełnie inny człowiek i niepojęte cuda robił za życia...

A tam zbliża się do mnie jeszcze jeden jegomość i hurtem rzuca w błoto wszystkich francuskich poetów. Powiada, że cała francuska literatura, o której sądzi z dwóch bajek La Fontena, przeczytanych w polskiem tłómaczeniu, nic nie warta dlatego, że Racine, Corneille, a szczególnie Voltaire, naśladowali niemców. Powiedzcie im kilka nazwisk holenderskich pisarzy, a zobaczycie, że natychmiast będą rozprawiać o całej holenderskiej literaturze. Dla nich dosyć wiedzieć nazwiska, żeby rozumować tak, jak niektórym się zdaje, że dość mieć cegły, ażeby zbudować panteon. Najtrudniej jednak wstrzymać się od śmie-

chu i litości nad tymi uczonymi, kiedy mędrkują sobie o historyi.

Sądzilibyście, że to prawdziwa historya pomieszania zmysłów w człowiekn, gdyby ten człowiek nie mówił tak stanowczemi wyrażeniami, jak starożytne wyrocznie. Dla niego nic nie znaczy zadecydować, że Aleksander W. był czworonożnem zwierzęciem z długiemi uszami, że Hannibal był podły, Richelieu cielę, Karol XII pijak, a bliższym od nas mężom dostaje się jeszcze lepiej. Jakież tym panom dać nazwisko? Jeszcze raz przyznaję się, że nie wiem! tego tylko jestem pewny, że sprzeczać się z nimi równie użytecznie, jak dysputować z młynem. Ja, przy zbyt miękkim charakterze, nie śmiałem nigdy prostować cudze błędy lub niedorzeczne zdania; słuchałem cierpliwie wszystkich bredni, często potakiwałem im mimowolnie, lecz uwolniwszy się od przytomności rozprawiaczów, oburzałem się w duszy na swoją uległość, czułem się upokorzony; zdawało mi się, że, słuchając powolnie takich dysertacyj, krzywdzę sam siebie i daję prawo ludziom oświeconym uważać mnie za głupca.

Istotnie moi znajomi nie mogli mieć innej o mnie opinii.

Nie dość, że mnie takim sposobem dręczyli i uniżali, ci panowie starali się jeszcze pozbawiać mnie imienia oświeconego człowieka, które mi się słusznie należało, i dlatego nietylko upewniali wszyscy, że głowa moja zupełnie pusta, ale wymyślając najdziwaczniejsze zdania, rozsiewali je pod moją firmą. Ci panowie jednak brali mnie nieraz na stronę, zaczynali umyślnie w pół głosu dysputować ze mną o jakimkolwiek przedmiocie, a nakradłszy podstępem dosyć myśli w mej gło-

wie, za kilka minut z ważną miną stojąc w kółku słuchaczy, wydawali ten łup za swoją własność głośno i stanowczo. Niektóre moje rękopisy przepadły u mnie, sam nie wiem, jakim sposobem a potem wychodziły na świat drukowane bez mej wiedzy i pod cudzem imieniem. Przywłaszczyciel z grzeczności przysyłał mi jeden egzemplarz w podarunku.



II.

— Panie Pantofel!

— Słucham pani.

— Czy pan nigdy nie był zakochany?

— Przeciwnie, byłem—i nawet dwa razy.

— O! zapewne bardzo mocno! Wszak ludzie tacy, jak pan, nie lubią żartować.

— Tak mocno, że pierwszym razem zaledwie nie umarłem z rozpaczy, a drugi raz ożeniłem się.

— Ach! opowiedz pan, to musi być coś bardzo zabawnego — namiętnie zakochany pantofel!...

— Istotnie, nadzwyczajnie zabawna bajka; nie masz nic śmieszniejszego; tylko posłuchaj pani:

Miałem wtenczas dwudziesty piąty rok i służyłem w sławnem mieście Kozienicach pisarzem sądu pokoju. Był bal u pana naddzierżawcy. Obywateli zjechało się mnóstwo z całej okolicy. Całe podwórze zajęły karoce różnego kalibru i kształtu. Wist, ćwik, maryasz, dobry węgrzyn i rozmowa o ciężkich czasach zajęły starych, a pięciu żydów

muzykantów, sprowadzonych z Radomia, zupełnie uszczęśliwiło młodzież. Bez przesady można powiedzieć, że na tym balu było okropnie wesoło.

W pokojach, zajętych ludźmi statecznymi, gwar, sprzeczki, nieumiarkowany śmiech i prawie ciągle wiwaty; w salonie, gdzie tańczyła młodzież, żydowska muzyka, sztuk, szurganie nóg, szelest kobiecych sukien, szmer umizgów, kurz, gorąco, jednem słowem — odmęt młodego życia w pałającej balowej atmosferze, ocean, po którym huragan wesołości pędził łódki szczęśliwych żeglarzy. Ja myślę, że to jakiś nieprzyjaciel rodu ludzkiego zaprowadził bale w Europie, a szczególniej w Kozienicach.

W samej rzeczy nie masz nic zgubniejszego dla społeczności, jak bal. Ledwie zagra muzyka, całe balowe towarzystwo rozdziela się jakby na dwie nieprzyjazne strony, z których jedna — siwe wąsy i olbrzymie czapki, stają pod chorągwią wspomnień, a druga — z uśmiechem na ustach, zbiera się pod sztandarem nadziei. Te dwa godła na balu jeszcze mniej łączą się z sobą, jak ogień i woda; trzeba więc koniecznie z nich wybrać jedno i takim sposobem rozrywają się najświętsze związki. Rodzice wyrzekają się własnych dzieci, dzieci opuszczają rodziców, mąż rzuca żonę, żona nie chce znać męża, każdy ma swoje rachunki! Jeśli jaka szlachetna dusza zechce się oprzeć okrutnym prawom balowego egoizmu, na wieleż naraża się szyderstw! Niechaj tylko mąż zostanie przy żonie, natychmiast ogłoszą go zazdrosnym, podejrzliwym albo tyranem! Niechaj matka śledzi okiem za córkami, zaraz powiedzą, że niewiele ufa moralności tych panien, a dobra córka, nie

dstępująca swej matki, jest niezawodnie wielka arafianka.

Nie łatwo wybrać sobie znaczenie i miejsce, a są osoby, dla których, zdaje się, nie ma na balu ani znaczenia, ani miejsca; naprzykład stara panna, dla tej istoty równie niewygodnie kwaterować tam gdzie panuje wspomnienie, jak tam, gdzie tańczy nadzieja. Ona powinnaby siedzieć w osobnym pokoju, albo jeszcze lepiej w domu. Z drugiej strony, bal jeszcze więcej psuje człowieka jak pijaństwo. To rzecz najpewniejsza. Nigdy stateczni ludzie więcej się nie sprzeczają, nie zrzędzą, nie tracą czasu na próżno, jak na balu; nigdy podeszłe kobiety więcej nie zajmują się plotkami i obmową, jak na balu; nigdy młody romantyk w swoich dzikich dumach nie zbliża się więcej do waryacyi, nigdy stary kawaler nie plecie więcej niedorzeczności, nigdy w duszy nie majętnych lub szpetnych kobiet nie obudza się więcej zazdrości, nigdy macochy nie są sroższe dla pasierbic, jak na balu! jak na balu! jak na balu!

Wreszcie bal... bal jest niebezpieczny dla zdrowia i dla cnoty. Nic łatwiejszego, jak umrzeć fizycznie lub moralnie od balu! Tam piją wodę po tańcu, jedzą lody po miłosnem oświadczeniu; albož od tego nie można powędrować na cmentarz? W wirze upajającego walca, w odmęcie szalonej galopady, albož to niejedna perła przemienia się w glinę? Powiedzcież mi teraz, czy nie prawda, że pierwszy bal w Europie, a przynajmniej w Kozienicach, dał zapewne nieprzyjaciel ludzkiego rodu! Ja myślę, że to prawda.

Tylko dla Pantofla bal nie jest niebezpieczny dla tego, że on zawsze mocny w swoich zasadach; nie tańczy, jak wiadomo każdemu, nie gra w karty i tylko się nudzi na balu. On i od nudów nawet ma lekarstwo.

Popatrzywszy nieco na wesołość drugich, Pantofel westchnie, albo machnie ręką, i potem poważnie rejteruje do osobnego, na pół oświeconego pokoju, siada w kącie, i pogrąża się w dumy, póki Morfeusz go nie ukołysze.

Ja bym tylko Pantoflom pozwolił bywać na balu!

I pan naddzierżawca musiał tak myśleć, bo mnie tylko jednego prosił na ten bal osobiście, w samą wigilię festynu, spotkawszy mnie na rynku. Jeżeli było więcej gości, to już nie jego wina; on zupełnie nie wiedział o tem, że żonie przyjdzie do głowy zaprosić tyle osób, nie zapytawszy się męża. Jakkolwiek bądź, dość tego, że byłem na balu, i nie odstąpiłem od swoich prawideł; to jest popatrzywszy i tu i tam, nadepnąwszy nieostrożnie na kilka nóg i nóżek i widząc: że ziewanie, symptomat blizkiego snu, zaczyna już utrudzać moją dolną szczękę, odrejterowałem do takiego pokoju, jak wiecie. Tutaj pogrążyłem się w głębokie dumy, jak żyd, który siedzi nad talmudem i medytowałem dopóty, dopóki nie wymyśliłem tego wszystkiego, coście wyżej czytali o niebezpieczeństwie balów. Potem postanowiłem zasnąć.

Na nieszczęście takiemu człowiekowi jak ja, nigdy nie dadzą wykonać dobrego postanowienia. Ni ztąd, ni zowąd, dwie panienki wbiegły jak sarenki do mojego pokoju, i zapewne mnie nie spostrzegły siedzącego w cieniu i w wielkiem wolterowskiem krześle, albowiem śmiało usiadły na sofie. kilka chwil w milczeniu oddychały pełną

piersią, a potem, przyprowadziwszy płuca do zwyczajnego stanu, zaczęły rozmawiać o balu w ogólności, o kawalerach a nareszcie i o mnie.

Jedną z nich była Zofia, wesoła córka gospodarza domu, druga młoda, piękna jak anioł, Emma Dobr..., którą pierwszy raz widziałem w tym dniu, chociaż jej ojciec, stary kolega mojego ojca, bywając często w Kozienicach, kilka razy prosił mnie do swej wioski Tyżyna. Jakże tu spać było, kiedy mogłem podsłuchać, co miały mówić o mnie dwie młode panienki?

Słuchajmy.

— Kto ten jegomość z bladą twarzą, z dużemi niebieskiemi oczami, w czarnym fraku, co w samym początku balu popatrzywszy na tańcujących, westchnął i gdzieś zniknął z salonu?— zapytała Emma swej przyjaciółki.

— Ha, ha, ha! jakie zabawne pytanie! — odpowiedziała śmiejąc się serdecznie Zofia. Próżno bym łamała sobie głowę, żeby zaspokoić twoją ciekawość. Blade twarze, jako oznaka namiętnej duszy, weszły w teraz w modę u mężczyzn. Każdy z nich wszelkiemi sposobami stara się mieć Bajronowską — jeśli nie duszę, to przynajmniej bladość, i gotów kazać się wybielić mularzowi. Niebieskie oczy znajdziesz u wielu, chociaż to stara moda pasterskiego wieku, a czarne fraki noszą prawie wszyscy. Jakże tu zgadnąć, kto twój grazioso, prezioso i może nawet innamorato cavaliere?

— Comme vous êtes méchante! Ty nigdy nie chcesz mi nic powiedzieć, ale na ten raz mniejsza o to; widziałam jak on dość długo rozmawiał z papą przy oknie, papa musi go znać.

— Od ojca dowiesz się tylko o jego nazwisku a ja domyślam się o kim mówisz, i mogłabym ci opowiedzieć o nim tysiące zabawnych anegdot.

— Carissima, dość już mnie męczysz. Ty wiesz, żem ja więcej ciekawa niż Ewa. Powiedz, kto on taki?

— Pantofel.

— Jak to Pantofel? Czy on się tak nazywa? Zabawne nazwisko! Nie może być!...

— Cóż w tem niepodobnego? Wszakże na pensyi nasza madame nazywała się la grande poule, i to ciebie nie zadziwiało.

— A, rozumiem! Czy on istotnie Pantofel?

— Arcy—superfine Pantofel, podobny do tej zupy, którą niemcy zdaje się umieją gotować z czystej wody bez żadnej przyprawy; dobry jak gołąbek, cichy, nieśmiały, skromny jak zając, mówią, że jak rabin siedzi zawsze nad książkami, posiada starożytne chrześciańskie i mahometańskie języki, lubi poezyę i pisze tak śliczne wiersze w imiennikach, że ich nie można się naczytać.

— Ah, ma chére! to dla czegóż go nazywają Pantoflem?

— Sama nie wiem jak ci odpowiedzieć. To zdaje się tak naturalna rzecz, jak gdyby na jego nosie było napisane z obudwóch stron: Pantofel! Gdzie tylko się obróci, wszędzie zgadną, że on Pantofel. U nas w mieście nawet chłopcy biegają za nim po ulicy i pokazując mu różne grymasy, krzyczą z całego gardła: Pantofel! Niektórzy mówią, że on bardzo uczony; drudzy, i tych daleko więcej uważają go za półgłówka; ci i drudzy mają racyę: on uczony w swoim gabinecie, a głupi w salonie, osobliwie kiedy prowadzą

rozmowę kobiety. Wystaw sobie, raz mówiono przy nim o morskiej podróży, o silnych uczuciach, jakich człowiek musi doświadczać na bezbrzeżnej przestrzeni oceanu, stojąc, że tak powiem, na granicy życia z wiecznością.

— Co pan myślisz o tem? — zapytała go moja mama.

— Ja nigdy nie byłem na morzu — odpowiedział, ziewając.

— Jednakże jak pan sobie to wystawiasz?

— Sądzę — rzekł — że to musi być bardzo przyjemnie, albowiem wiadomo, że przybliżając się na okręcie do jakiego miasta, widać naprzód szczyty wież, potem dachy domów, a nareszcie i ludzi...

Byłby zapewne mówił dalej, ale pan podsędek pękając ze śmiechu, zatrzymał go, zawoławszy:

— Nie mylisz się waćpan; wszystko to nam wiadomo słowo w słowo z geografii dla szkół narodowych, a gdybyśmy tego w niej nie odkryli, to każdyby się mógł domyśleć i z wypisów łacińskich, w których powiedziano: terra est rotunda et globosa, ha! ha! ha! Biedny Pantofel poczerwieniał, jak rak w ukropie, ale powiedz sama, czy nie mógł znaleźć nic lepszego do powiedzenia? Drugi raz tańczyli u nas. Pantofel dziś już nie tańczy, ale wtedy lubił powalcować sentymentalnie, jak niemiec. Łaknąc zapewne napić się z tego zdroju, stanął za mojem krzesłem i ciągle patrzał na mnie, póki znudzona jego figurą, nie zapytałam, tak sobie, na wiatr:

— Dla czego pan nie tańczysz?

— Jabym życzył — odpowiedział — ale nie śmiem prosić panią

— Dla czego? Wierz mi pan, że ja nie taka okrutna, jak się może wydaje. I przyrzekłam mu pierwszego walca, którego zagrają. Wtem zaczęły się znów tańce, uwolniłam się od niego, ale biedny Pantofel błąkał się za mną od krzesła do krzesła jak mara, i stawał tam, gdzie tylko usiadłam. Nakoniec zagrali walca, Pantofel już się był wysunął naprzód, ale w tym samym momencie Casimir K. podbiegł angażować mnie.

— Przepraszam — odpowiedziałam. — Pan W. już mnie dawno zamówił.

— Pan W.! — zawołał Casimir jakby zdziwiony i mierząc go oczyma od stóp do głów, dodał: Co to znaczy? Przeproś waćpan zaraz tę damę.

Pantofel zbladł, bąknął coś tam pod nosem, spojrzał na swego przeciwnika, lecz natychmiast opuścił oczy, przeprosił mnie i popłynął do domu. Innym razem nie pamiętam ktoś z młodzieży przeponiterowawszy na wieczorze wszystkie pieniądze, które miał w woreczku, zapytał biednego Pantofla z gniewem, dla czego nie gra? Pantofel odpowiedział, że nie umie.

— No, to chodź — rzekł mu ten trzpiot, ciągnąc go za rękę do stolika — ja będę wybierał karty, a ty stawiaj pieniądze.

Pantofel poszedł za nim, jak baranek i przegrał wszystko, co miał przy sobie. Jego służący trzyma go zupełnie w ręku. Kiedyś w trzaskający mróz papa spotkał Pantofla w jednym fraczku, biegnącego do biura.

— Czy waćpan w gorączce — spytał go — czy ci się zdaje, że mieszkasz we Włoszech?

— Ani to ani drugie — odpowiedział nieboraczek, drżąc od zimna — ale cóż robić. kiedy

mole zaczynają psuć moje futro i służący rozwiesił je na dworze.

Jakby na szczęście jego, łotr, wyprawiwszy pana do obowiązku, właśnie poszedł spacerować w jego szubie; papa, widząc go idącego po ulicy, zawołał po imieniu i ledwie mógł namówić Pantofla zdjąć z niego swoją własną odzież. Gdyby nie papa, jestem pewna, że Pantofel całą zimę wytępiałby mole z futra. No, jak ci się to podoba, ma chére!

Emma przez cały przeciąg opowiadania swojej przyjaciółki, śmiała się bardzo rzadko i umiarkowanie, zdawała się być więcej wzruszoną, niżeli rozśmieszoną mojemi przygodami i nakoniec rzekła do Zofii:

— On jeszcze młody, niedoświadczony, z czasem przemieni się.

— Chociaż się przemieni, o czem jednak wątpię, to zawsze będzie pedant! On taki uczony!

— To nie wielka bieda, nawet nieźle, jeśli tylko czuły.

— O! co tego towaru, to ma nawet zanadto; ale on czuły jak dziecko, a nie jak mężczyzna. Ja myślę...

W tem Kazimierz, dawno już szukający Zofii, przerwał dalszą rozmowę dwóch przyjaciółek i poprowadził je do salonu. Te kilka łagodnych słów, które powiedziała o mnie Emma w ulotnej rozmowie, głęboko zapadły w me serce.

— O duszo anielska! — pomyślałem sobie — ty pierwsza nie wstydziłaś się usprawiedliwiać wzgardzonego od wszystkich człowieka, ty mnie żałujesz, ty mnie nie potępiasz, masz nadzieję, że się jeszcze przemienię i cenisz to serce, na które dotąd nikt jeszcze nie zwrócił uwagi.

W zachwyceniu padłem na kolana i dziękowałem Bogu, że mi dał poznać tę duszę, do której się jeszcze nie dotknęła światowa obojętność. Postanowiłem nazajutrz pojechać do Tyżyna, a tymczasem poszedłem do salonu i resztę wieczoru śledziłem ciągle za Emmą.

Ledwie wróciwszy do domu, zacząłem się wachać w swojem postanowieniu; chodząc po pokoju, pytałem sam siebie: jechać czy nie jechać? i nie mogłem rozstrzygnąć tego pytania; nakoniec spostrzegłszy śpiącą na oknie muchę, pomyślałem sobie, że najlepiej zdać tę sprawę na jej decyzyę; jeśli zbudzona poleci znowu na swoję miejsce, to będzie znaczyć, że mi potrzeba zostać w domu, a jeśli przeciwnie, zaśnie na innem miejscu, to widać, że mi wypada jechać do Tyżyna. Mucha kazała mi jechać i nazajutrz istotnie wyjechałem.

Czy zegarek mój nadzwyczajnie się spieszył, czy źle rozrachowałem czas podróży, czy wreszcie nie pomyślałem, o której godzinie najwłaściwiej przyjechać z pierwszą wizytą, dość, że zastałem całą familię pana Dobr..., tylko co zebraną na kawę. Ledwie była 8 godzina. Wkrótce jednak nieudana gościnność tego zacnego domu, a może i chęć podobania się Emmie, dodała mi serca. Odpowiadałem, nie jękając się na wszystkie pytania i nawet sam prowadziłem rozmowę. Czasami tylko spotkawszy wzrok Emmy, traciłem nitkę dyskursu i takim sposobem wystrzeliłem kilka płaskich konceptów, lecz Emma spostrzegła moją słabość i nie spoglądając więcej na mnie wróciła mi spokojność.

Póki pani Dob... nalewała kawę, miałem czas zbliska przypatrzeć się jej córce. Wystaw-

cie sobie siedmnastoletnią blondynkę z twarzyczką, jakie lubił malować Grentze, z błękitnemi jak majowe niebo oczkami, z różanemi usteczkami, na których drzemał zachwycający uśmiech.

W całym jej układzie i mowie rozlana jakaś uprzejmość i słodycz, wyjawiały przymioty czystej, niewinnej duszy. Dodajcie do tego postać sylfidy, płeć bieluteńką, rączkę śliczniejszą od tych, które wychodziły z pod nieśmiertelnego dłuta Canowy, a będziecie mieli pojęcie, słabe wprawdzie, o jej powierzchowności. Ale jakże wam opiszę ten boski wyraz twarzy, tę pogodę i razem i smętność czoła, nakoniec tę tak piękną harmonię wszystkich rysów, która więcej czaruje wzrok, jak sama piękność?

Upojony jej widokiem, nie postrzegłem, jak służący przyniósł mi kawę. Emma, chcąc mnie o tem ostrzedz, nachyliła się w moją stronę i wtedy ujrzałem cokolwiek wystawioną nóżkę.

O nóżko drobniutka! o atłasowy pantofelku! Powiedzcie mi, dla czego na wasz widok jakiś żywy płomień przebiegł po wszystkich moich żyłach. Serce zaczęło bić gwałtownie i ręka zadrżała tak mocno, że chcąc wziąć kawę, trąciłem tacę, rozlałem wszystko co na niej było, zrzuciłem na podłogę porcelanę, a potem zmieszany, zacząłem zbierać skorupy i cukier i kłaść je na pustą tacę.

Śmiech państwa Dob... przyprowadził mnie do przytomności. Emma się nie śmiała, przeciwnie, na jej twarzy widać było politowanie. Wybaczono mi moją winę i wkrótce znów byłem spokojny i wesoły; tylko kończyk nóżki, albo raczej różowy pantofelek, ciągle migał się przed oczyma, potem migało się ich coraz więcej, jak

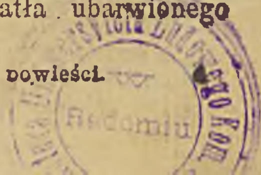
bystrolotne jaskółki, nakoniec zdało mi się, że cały pokój napełnił się różowemi pantofelkami, które ciągle krążyły około mojej głowy.

Po kawie poszedłem z gospodarzem do ogrodu, lecz i tu w promieniach słońca, jakby rój złotych muszek świeciły się miliony maluczkich pantofelków. Cały ten dzień przepędziłem najszczęśliwiej na łonie tej familii, jak dziecko u rodziców.

Wieczorem powróciwszy do domu, długo nie mogłem uspokoić szczęściem upojonego serca i rozkołysanej wyobraźni. Chwila upływała za chwilą a ja zamyślony chodziłem, biegałem po pokoju, przypominając sobie każdą sekundę tego błogiego dnia, każde słowo, każde poruszenie mej ulubionej, jej miłą postać, jej twarz. oko, rączkę, a szczególniej—o słabości mężczyzn! szczególniej jej nóżkę i śliczny pantofelek!...

Świeca rzadko objaśniana gorzała mdłem światłem; lecz i w kręgu bladego jej płomienia oko moje widziało czarującego kształtu pantofelki; wyjrzałem z okna i księżyc wydał mi się świetnym pantoflem i wszystkie gwiazdy złotemi pantoflami.

Kiedy nareszcie nad rankiem znużony rzuciłem się na łóżko, sny najpiękniejsze obudziły się w mej duszy. Zdawało mi się, żem pływał na spokojnych zwierciadlanych falach jeziora w łódce brylantowej, o którą roztrącały się, w której łamały się promienie majowego słońca, iskrzyły się i odstrzelone w powietrzu, rozsypywały około mnie snopami, girlandami światła ubarwionego wszystkiemi kolorami tęczy.



Byłem zupełnie otoczony obłokiem nadzwyczajnej jasności, czarodziejska moja łódka miała formę pantofla, na którego koncu stała maleńka, skrzydlata jak kupidynek — Emma i złotem wiosełkiem, pędziła posłuszną nawę do czarującego brzegu. Mirjady najśliczniejszych pantofelków jak rybki uwijały się około czółna i wychylając się z wody koniuszczkami, patrzały na mnie oczkami z szafiru! Jak dobrze być czasem i pantoflem, choćby dla tego, żeby mieć takie cudowne sny!

Po kilku dniach byłem znowu w Tyżynie, potem jeździłem coraz częściej i nakoniec stałem się zupełnie domowym u państwa Dobr... Takim sposobem upłynęło prawie pół roku.

Dla czego tak łatwo opisywać niedolę, a tak trudno szczęście? Każdy wieśniak może wzruszyć słuchacza powieścią o swych cierpieniach, a szczęście, rozkosz, upojenie, skreślone w nieśmiertelnych rymach największych poetów, są dla wielu zupełnie obojętną rzeczą.

Ja myślę, że to bardzo naturalnie, każdy z nas inaczej sobie wyobraża szczęście, a cierpienia, jakiekolwiekby ono było, lękamy się wszyscy. Zresztą czy podobna opisywać dokładnie szczęście, kiedy go człowiek nigdy nie analizuje, nie mierzy, nie waży, nie rozkłada w retorcie, kontentując się tem, że go czuje. O! wieleż słodkich chwil przepędziłem w tej słodkiej epoce mojego życia, obok Emmy, wszędzie i zawsze przy niej; w salonie, przy robotnim stoliku, w ogrodzie! wieleż razy biegaliśmy razem po polach, po lesie, po nad brzegiem Wisły, i zachwycaliśmy się zawsze temiż samemi pięknościami natury, jak gdyby jedna dusza ożywiała obie nasze istoty!

Przy niej straciłem pojęcie o podziale czasu; zapomniałem, że są godziny, minuty, sekundy, ponieważ w jej obecności dzień cały zlewał się w jedną całość, a wszystkie moje uczucia w jedno uczucie miłości. Powoli jakby wytrącony z chaosu, rozpostarł się przedmną nowy świat, nie idealny, nie wymyślony od poetów, ale rzeczywisty, świat wysokich, wspaniałych uczuć, zgodnych z rozumem, cnotą i religią. W tym świecie, którego Kolumbem była dla mnie Emma, cała moja istota odrodziła się; zacząłem więcej cenić samego siebie, i wstając z długiego uniżenia, pierwszy raz od dzieciństwa dumnie spojrzałem w około siebie! O! gdyby lat kilka, gdyby choć rok takiego życia, jestem pewny, że zależna wola uszlachetniłaby mój charakter! Emma była moim aniołem opiekuńczym. Zawsze dobra, łagodna, pocieszająca mnie w troskach wybaczała me wady, stosując się nawet do nich w słowach i postępowaniu. Jak ona w każdej drobnostce umiała być miłą, niewinną kokietką! To zaplecie włoski, według mego gustu, to włoży ubiór odemnie chwalony, to zagra na fortepianie ulubioną moją melodyę, to powtarza moje wiersze!

Ona namiętnie lubiła poezyę, ja także; postanowiliśmy więc przeczytać razem kilku wzorowych poetów. Przy tem czytaniu miałem zręczność jeszcze lepiej poznać jej sposób myślenia i jej anielską duszę. Emma miała początki angielskiego języka, lecz nie była w stanie czytać książek, a osobliwie wierszy. Zająłem się wydoskonaleniem jej w tej mowie, i wkrótce doprowadziłem do tego, że z łatwością mogła ją rozumieć. Z jakim zapałem rzuciła się ona do Moora,

Byrona, Scotta!... Lalla Rakh, Irlandzkie Melodye dziewica z Abydos i pani Jeziora nie wychodziły prawie z jej rąk; często zasypiała z niemi, i obudziwszy się w nocy, lubiła przeczytać kilka wierszy dla tego, żeby posiać miłe sny w swej wyobraźni; a w letni poranek, polawszy swe kwiatki w ogrodzie, uczyła się na pamięć jakiej piosenki Moora, którą mnie potem witała po przyjeździe z miasta. Poezya i muzyka zgubiły mnie zupełnie; one obudziły tyle słodkich uczuć w mem sercu, wstrzęsły tak gwałtownie słabą tkankę mych nerwów i rozkołysawszy wyobraźnię, do takiego stopnia odurzyły mój rozsądek, że w tym chaosie wzruszeń, obrazów, marzeń smętności i wesela, filozofii i lekkomyślności, postępowanie Emmy wydało mi się namiętną miłością, kiedy zimna rozwaga najjaśniej mogłaby mnie przekonać, że to była tylko łagodność i przyjacielska ufność.

Dziś jestem pewny, że Emma byłaby równie dobra dla każdego mężczyzny, oprócz tego, którego została żoną; dla niego bezwątpienia była lepszą. Zresztą niektóre wypadki, w których nawet ta anielska dusza zapomniała swej pobłażającej łagodności powinny były zaprowadzić mnie nad myśl, że w uczuciach jej dla mnie brakowało czegoś bardzo ważnego, a mianowicie ufności, którą ma każda kobieta w opiekuńczą siłę mężczyzny!...

Raz znużeni przechadzką, siedliśmy na nie wielkiej składce tarcic. Emma zdjęła z palca pierścionek i przypadkiem upuściła go między drzewo Wieczór był jasny, tarcic niewiele, a zatem zguba mogła być łatwo znalezioną. Towarzyszka moja prosiła mnie o to grzecznie, lecz tak spokojnie

jakby chodziło o podniesienie chusteczki z podłogi.

Szkoda, że to co było lekkiem dla drugich, okazało się bardzo ciężkiem dla mnie. Emma śmiała się z mych usiłowań, uważając je za udane, ale nakoniec prosiła wspomnieć na to, że się zbliżał czas wieczerzy, i zaprzestać zbyt długich żartów. Z rozpaczą, prawie ze łzami w oczach musiałem się przyznać, że zupełnie nie żartuje, i wtedy twarz jej przybrała wyrażenie zadziwienia, lecz razem i jakiejś wzgardy.

— Fi, rzekła mi z przekąsem, gdybym była takim mężczyzną, nosiłabym spódniczkę. Ha cóż robić? zawołajże pan przynajmniej kogo na pomoc.

Na jej szczęście a mój wstyd, młody parobek wyszedł z blizkiej chaty, i zawołany przez nas, w minutę odwalił tarcice w stronę i znalazł pierścionek.

— Ile masz lat? spytała go Emma.

— Siedmnaście—odpowiedział.

— I tak silny jesteś?

— Oho! żeby to tylko tarciec rzucać, toby i dzieci potrafiły.

Emma mile mu podziękowała za usługę. Milcząc wracaliśmy do domu. Widziałem głębokie, jej zadumanie, i domyślałem się, o czem myśli. W środku drogi obracając się Emma do mnie, rzekła:

— Zdaje mi się, mężczyźni nie tają swego wieku, tak jak my płoche kobiety. Wiele lat panu?

— Całem dziesiątkiem więcej, jak temu wieśniakowi, odpowiedziałem zcicha, zgadując jej myśli i w tej chwili byłem podobny do robaka zdeptanego nogą wędrowca! To było

pierwsze i dla tego najdotkliwsze z moich upokorzeń. Drugim razem, wrota od ogrodu nie wiem dla czego były zamknięte, i Emma poprowadziła mnie do furtki, przez którą można było wejść, lecz między furtką i tuż stojącem gumnem znajdowała się budka, a w niej ogromny brytan na łańcuchu. Nigdy nie widziałem straszniejszego cerbera!

— Daj mi pan rękę—rzekła Emma—to Lewjatan; będzie tylko szczekał; lecz gdybyś pan szedł sam, to możeby się rzucił, chociaż on zresztą już stary, i więcej straszy jak robi złego.

Biedny Lewjatan! on podobny do tych okrętów, co kiedyś panowały na morzach, a potem zwyciężone czasem i falami, stoją w porcie bez armat i ekwipażu, i mogłyby być zdobyte od każdej nieprzyjacielskiej szalupki! Teraz dworowe kundle odważają się bezkarnie drażnić tego, przed którym drżało całe pokolenie ich poprzedników. Tymczasem przybliżaliśmy się już do furtki. Lewjatan wysunął się z budy, i tak straszliwie zaczął szczekać i miotać się na uwięzi, jak gdyby mu się wróciły szczenięce lata. Emma szła zupełnie. spokojnie, lecz ja spojrzawszy na ślepie Lewjatana, w których grał jakiś ciemny ogień, jak w oku tygrysa, mimowolnie odskoczyłem i krzyknąłem. Emma pośmiawszy się ze mnie, zbliżyła się do psa, wzięła go za pysk i kazała mi iść tymczasem do ogrodu, upewniając mnie, że on się ani ruszy. Drżałem jak liść i nie mogłem na krok posunąć się naprzód. Emma nie powiedziała mi ani słowa, tylko spojrzała na mnie wzrokiem uniżającej litości, jak na tchórza, jak na mopsa podrapanego do kota.

innym jeszcze razem w czasie obiadu, na którym było kilka osób z miasta, pan Dob... kazał przynieść familijny kielich i wzniósł zwyczajem w Sandomierskiem zdrowie: „Kochajmy się“. Wszyscy wypili, ja tylko wymówiłem się.

— Wstydź się waćpan, rzekł mi gospodarz. Mężczyzna powinien się strzedz zbytku, ale chciałbym żeby miał głowę cokolwiek mocniejszą od kury. Ojcowie nasi zawiele czcili Bachusa osobliwie poznajomiwszy się z Sasami. Było to źle zaiste, ale teraźniejsza młodzież chociaż nie pije, więcej jednak warta politowania. Co mi to za mężczyzna? blady, chudy, oczy wpadłe, słaby jak trzcina chwiejąca się od wiatru, i od jednego kieliszka pada pod stół. W kim nie ma nic męzkiego, to baba we fraku. Dziwię sie, jak nasze kobiety mogą kochać tych panów, tem więcej jak mogą wychodzić za nich za mąż? Wszakże mąż powinien być protektorem swej żony, jej opiekunem w złych i dobrych losach, i zasłaniać ją od burzy, jak dąb zasłania słaby krzew rosnący w jego cieniu. Cóż dziwnego, że dziś tylu mężów są u swych żon pod pantoflem? Nie może być inaczej, bo każdy z nich pantofel. Nie taki był ś. p. ojciec waćpana. Wszak wiesz zapewne, jakim sposobem on się poznał z nieboszczką matką?

Odpowiedziałem, że wiem. lecz drudzy nie wiedzieli tego, i na ich prośbę pan Dobr... tak mówił dalej.

— Długo służyłem z ojcem pana Wincentego w jednym pułku: byliśmy razem w kilku wyprawach wojennych, i kochaliśmy się jak bracia. W bitwie pod *** mogę powiedzieć, żem jemu tylko winien życie, chociaż on się do tego nigdy

nie przyznawał. Spojrzawszy na niego, można było powiedzieć: oto człowiek! wysoki, atletycznego składu, kształtny mężczyzna, czarne włosy, czarne oko, czarny wąs sitarski, zawsze zdrów i czerstwy. Chociaż nieugięty w swoich zasadach, zwyczajnie jednak łagodny jak baranek; tylko kiedy się w nim krew rozigra, wtedy z baranka robi się lew. Jednem słowem, prawdziwy Sarmata. W biwacznem swojem życiu, spotykając ludzi i takich i owakich, unikał awantur, lecz nigdy nie uchybił swojej godności i nie pozwolił sobie dmuchać w kaszę. Pamiętam, raz w Medyolanie w teatrze, jakiś pigmejczyk, obywatel wielkiego narodu (la grande nation) nie widząc nic za kolosalną postawą pana W., wstał z krzesła i przyszło mu na myśl oprzeć swoję paryską twarzyczkę na jego ramieniu, jak żołnierz na swojej fuzyi w strzelnicy.

— Waćpan zapewne chcesz mnie pocałować w ramię? — rzekł pan W., zwracając na niego iskrzące się od gniewu oczy — całuj prędzej i siadaj na miejscu.

Francuzik stanął w pozycyi fechmistrza i wystrzelił jakiś uszczypliwy koncept; lecz sarmata zamiast odpowiedzi, schwycił go za rękę, targnął tak silnie ku sobie, że wszystkie kosteczki w nim zatrzeszczały, przymusił pocałować siebie trzy razy w ramię i puścił, powiedziawszy mu do ucha, że drugim razem mógłby z nim postąpić mniej grzecznie.

Sądząc po fraku, widać było, że francuzik należał do rodzaju filozofów — niedowiarków, jednak w tym razie odstąpił od swoich zasad, i nie pokazując żadnego znaku wątpliwości, usiadł na swojem miejscu. W tym burzliwym czasie, łatwo

można było spotkać na drodze takiego fechmistrza i mój kolega często narzekał, że ma gorący charakter, dla tego, że musiał nauczyć kilku takich jegomościów. Ale miałem opowiedzieć pierwsze spotkanie się rodziców pana Wincentego.

Otóż, mości dobrodzieju, działo się to we Włoszech w czasie wojny. Generałowa L. z córką jechały do męża, z Florencyi do Genui. W górach napadło na nich kilku rozbójników, i zaczynali już rozprawiać się z ludźmi. Na szczęście w tej chwili nadjechał pan W., który wiózł właśnie depesze po tej samej drodze. Słysząc wystrzały, pędem błyskawicy doścignął łotrów i chociaż sam był raniony od nich, jednakże zmusił ich do ucieczki. Resztę drogi, rozumie się, został przy damach i zawojował sobie żonę. Ot, tak to my kiedyś romansowali!

Tymczasem familijny kielich ciągle jeszcze stał przedemną. W ciągu tej powieści o zacnym moim ojcu byłem jakby na torturach. Emma ani razu nie spojrzała na mnie i jeśli w tej chwili pomyślała o wyrodnym synie, to pewnie nie bardzo pochlebnie dla niego. Nareszcie pan Dobr.. widząc moją żałośną figurę, rzekł:

— No, wypijże chociaż za pokój duszy swego ojca.

Dziwny toast! lecz niepodobna było wymówić się; wypiłem więc, chociaż przewidywałem jakie będą z tego skutki. Istotnie słaba moja głowa nie wytrzymała tego naboju; wkrótce straciłem przytomność; stół z gośćmi krążył, zdawało mi się, że około mojego nosa, język mi się plątał, a jednak plótł jakieś niedorzeczności. które nadzwyczajnie wszystkich bawiły. Co tam było dalej, tego nie pamiętam, lecz nazajutrz ocuciłem

się w Kozienicach, chory w łóżku. Co pomyślała o mnie Emma? — to tylko, co można pomyśleć o Pantoflu; zdaje mi się, że pewnie nic więcej.

Zamilczę o innych wypadkach, powiem tylko, że nie zważając na to wszystko, sam nie wiem dla czego byłem przekonany, że Emma mnie kocha. Ona była dobrą i łagodną, skąd według moich zasad wypadało, że się we mnie kocha. Trzeba było zupełnie przekonywającego dowodu, żeby mi wydrzeć tę ostatnią deskę rozbitego okrętu, której trzymałem się namiętnie, konwulsyjnie, widząc, że z jej stratą zginie wszystko, co mnie jednało ze światem. Nareszcie doczekałem się i tego. Ułani zajęli kwatery w Kozienicach.

Ten wypadek uszczęśliwił, jak się zdawało cały powiat; wszyscy byli w zachwyceniu, obywatele, żydzi, a szczególniej kobiety! Tylko młodzi ludzie we fraczkach spuścili nosy, jak się mówi na kwintę, dla tego, że żaden nie wątpił o wpływie wojskowego munduru na słabą latorośl cywilnych miłostek. Wojskowi biorą serca szturmem, jak fortece.

Zaczęły się wizyty, wieczory, bale. Wszędzie ułani rej prowadzili i cały ród niewieści lgnął do nich, jak muchy. Wkrótce szczęk szabli i brzęg ostróg wypłoszyły z panieńskich serc nawet wspomnienie tych, którzy je przedtem zajmowali, i szerzyły trwogę jak w oblężonem mieście. Jedna panienka zapytana od kuzyna we fraku o przyczynę przemiany w obejściu się z nim, odpowiedziała naiwnie:

— Mon Dieu! c'est que nous sommes toutes sur pied de guerre!

Tak, zaiste, była to wojna! W salonie krew się nie leje, nie grzmią spiże, ale są zawsze zwycięzcy i zwyciężeni, ranieni i niewolnicy, a czasem śmierć i życie tak samo się ważą na szalach losu, jak w najzaciętszej bitwie!

Nie pytajcie się, co się działo ze mną. Pantofel dawno już był przydeptany, teraz obojętnie rzucono go na śmiecie. Nie przeszło miesiąca, już wszyscy mówili o tem i ja widziałem własnemi oczyma, że Emma nie była obojętną dla rotmistrza Szabelskiego.

Dziś, przetrwawszy oddawna tę burzę, oddaję jej sprawiedliwość, że nie mogła zrobić lepszego wyboru. Doświadczenie pokazało, że się nie omyliła — była z nim szczęśliwą w małżeństwie.

Nie pamiętam i nie chcę przypominać sobie pierwszego pcczątku ich miłości; spostrzegłem ją dopiero wtedy, kiedy oboje już nie ukrywali swych uczuć.

Zresztą charakter mój i okoliczności nie dozwoliły mi śledzić za ich postępowaniem. Na kozienickich wieczorach, ledwie pokazał się rotmistrz, Emma pod jakimkolwiek pretekstem oddalała mnie od siebie do drugiego, trzeciego, dziesiątego pokoju; to prosiła, żeby napisać przed jej wyjazdem jakie wierszyki, to posyłała dowiedzieć się o zdrowiu kogo z jej znajomych, to wreszcie prosto żądała abym nie stał przy niej. A rotmistrz?... o Boże. Ten człowiek zdawał mi się tak strasznym, że nie mogłem nigdy spojrzeć mu prosto w oczy. Lękałem go się więcej, jak niegdyś ojca, chociaż zupełnie bez powodu, albowiem był dla mnie zawsze uprzejmy, mówił o mnie z po-

chwałą i okazywanym mi szacunkiem, odpędzał odemnie wiele natrętnych trefnisiów.

Z czasem poznajomiliśmy się bliżej, i Szabelski jakby umyślnie dla tego, żeby się częściej widzieć ze mną, zajął kwaterę w tym samym domu, w którym mieszkałem.

Ta okoliczność była dla mnie bardzo wygodną, albowiem wprzód nie chcąc się z nim spotykać w Tyżynie, każdym razem przyjechawszy tam, pytałem, czy niema rotmistrza? a jeśli był, to, jak się mówi, wracałem z kwitkiem do domu. Teraz zaś mogłem jeździć na pewne. Dziś nie mogę się wstrzymać od śmiechu, kiedy pomyślę, że wówczas cieszyłem się z tego jak dziecko, sądząc, że rotmistrz sam sobie przygotował sidła. Tryumf mój był tem większy, że Emma zdawała się nic nie wiedzieć o blizkiem mojem sąsiedztwie z Szabelskim, a nawet o naszej znajomości. Mieszkaliśmy już prawie miesiąc w jednym domu, kiedy Emma dała mi raz książkę, żeby ją odesłać Szabelskiemu.

— Ja ją sam oddam—powiedziałem.

— Na co się panu fatygować samemu? Teraz błoto w Kozienicach. Pan mieszkasz pewnie daleko od rotmistrza, i zdaje się nie jesteś z nim znajomy.

— Zajadę prosto ztąd — rzekłem—i poznajomię się, żeby mieć zręczność nadal być pani użytecznym.

Emma uśmiechnęła się.

Ta maleńka intryga zajmowała mnie niewymownie. Kobiety, dzieci i Pantofle lubią odnosić takie zwycięztwo nad silnymi. Wkrótce potem powiedziałem Emmie, że już byłem znajomy z rotmistrzem. i chętnie jej będę służył w każdym razie; lecz, na moje podziwienie, spojrzała na mnie tak surowo, jak gdyby mi chciała zrobić ciężki wyrzut. Prawie osłupiałem.

Przeszło kilka miesięcy, i o rotmistrzu nie było nigdy wzmianki w rozmowie między nami, i nie odbierałem już żadnego poruczenia. Ciasna moja głowa nie mogła żadnym sposobem zrozumieć tej polityki.

Jeśli ona go kocha, myślałem sobie, to dla czego nigdy nawet nie spyta mnie o jego zdrowie? Wszak ja jej mówiłem, że go widuję... wszak on, będąc zajęty służbą, bywa rzadko, ledwie raz w tydzień w Tyżynie, a ja prawie siedm razy!... Kochankowie mają tyle do powiedzenia sobie, że choćby codzień się widzieli, zawsze czegoś zapomną. Tajemnica tak dla nich przyjemna, że choćby dano im zupełną swobodę, zawsze będą szeptać do siebie w sekrecie; a Emma ma rodziców, którzy, chociaż z daleka, ale bacznie na nią patrzą!... Dla czego ona nie pisuje przezemnie do rotmistrza? wszak zapewne nie wątpi, że gdyby mnie to najmocniej dotknęło, jednak nie odmówię jej żadnej prośby, żadnego nawet kaprysu. A rotmistrz, wiedząc, że bywam w Tyżynie, nigdy nie pyta o Emmę? nie ona pewnie przestała go kochać!

Raz wróciwszy z Tyżyna, zastałem na swoim stoliku karteczkę od znajomych, którzy mnie prosili zaraz po przyjeździe przyjść do nich. Przeczytawszy wyszedłem do przedpokoju, żeby wziąć czapkę, która zwyczajnie tam wisiała, lecz spostrzegłem, że jej nie było na kołku.

Przed tygodniem zdarzyło się coś podobnego, lecz wtedy nie śpiesząc z domu, kazałem jej tylko poszukać służącemu; tym razem zaś nie wiem

dla czego zastanowiłem się nad tem... zacząłem szukać, nigdzie nie znalazłem; zawołałem służącego, lecz i ten nic nie wiedział, a jeśli wiedział, to nic nie mówił. Wtem lokaj rotmistrza wszedł z moją czapką, zmięszał się cokolwiek, i zapytany o przyczynę, plątał się widocznie w odpowiedziach.

Jakieś podejrzenie mimowolnie zapadło w mą duszę.

Wróciwszy od znajomych, wstąpiłem do rotmistrza. Zapewne służący nic mu nie mówił dla tego, że na nim nie widać było żadnej przemiany, rozmawiał ze mną jak zwyczajnie i skarżył się, że nazajutrz chciał jechać do Tyżyna, ale z powodu służby musi zostać w mieście.

Pobiegłem czemprędzej do siebie i zacząłem dumać, jakby najłatwiej odkryć tę tajemnicę. Nigdy nie zastanawiałem się tak mocno nad wpływem czapki na moją istotę. To zagadnienie rozwiązałem prędzej daleko, jak pytania astronomii, i zdziwiłem się nad swoją przenikliwością. Nie posiadałem się z radości, chociaż wy powiecie, że to bardzo naturalnie, dla tego, że planet nie można wziąć w rękę, a czapka leżała przedemną na stole, jak trup przeznaczony na dyssekcyę. Istotnie, jak zobaczycie, była to nie czapka, lecz trup mojego szczęścia, ale mówmy o zagadnieniu, które mnie zajmowało.

Długo opatrywałem czapkę, nareszcie prze wróciłem ją do góry podszewką, aż oto widzę w jednem miejscu podszewka zszyta zupełnie innym ściegiem i inną nitką. A tuś mi ptaszku! Widać, że tą furtką wchodzi i wychodzi tajemnica do czapki i z czapki. Ułożywszy cały plan do odkrycia zdrady, położyłem się spać w tryumfu-

jącym humorze, jak Oktawian po bitwie aktyjskiej, która świat cały w jego moc oddała.

— O Boże! jaką ja głupią gram rolę! pomyślałem sobie; nie dosyć, że jestem Pantoflem, zrobiono ze mnie jeszcze pocztową szkapę, albo raczej pudla, któremu dają nosić w zębach koszyk z bułkami, przeznaczonemi nie dla niego! Więc już kilka miesięcy wożę na mej baraniej głowie bilety z Kozienic do Tyżyna i z Tyżyna do Kozienic, i oto rozwiązanie zagadki, dla czego Emma obchodzi się ze mną łagodnie na wsi, a obojętnie w mieście.

Oburzony tą okropną hypokryzyą kochanków byłbym natychmiast wyjął bilecik z czapki, lecz mnie wstrzymała myśl, że wtedy może Emma nie odpisze rotmistrzowi, a chciałem koniecznie wiedzieć, w jakim stopniu ona go kocha. Nazajutrz pojechałem do Tyżyna. Starałem się skryć moje wzruszenie—daremne usiłowania! byłem podobny do człowieka w gorączce. Państwo Dobr... troskliwie, wypytywali się o moje zdrowie. Odpowiedziałem, że czuję się mocno słabym, i mówiłem istotną prawdę. Emma z nadzwyczajną pieczołowitością dawała mi uwagi, jakie pić ziółka, i jak się zachować w chorobie... Żmija! pomyślałem sobie, drży, żeby nie zatrzymała się jej poczta!... Czasami badawczy wzrok jej długo zatrzymywał się na mnie i jakby szukał tajemnicy w mojej twarzy. Kto zdradza, i sam nawzajem lęka się zdrady. Okropny ten dzień skończył się przecie — wyjechałem z Tyżyna.

Ujrzawszy się na drodze bez świadków, rozerwałem czapkę z szaleństwem i wyciągnąłem bilet Emmy; lecz było ciemno, grudniowa zawierucha, śnieg prosto w oczy, mróz okropny; trze-

ba było odłożyć czytanie do domu. Ten kawałek papieru włożony do kamizelki palił mi łono, jak roztopione żelazo! O, dla czego ona tak fałszywie postąpiła ze mną? — mówiłem sam do siebie; gdyby otwarcie poprosiła mnie być jej pocztylionem, świadczę się niebem, że nie odmówiłbym jej tego, choćbym na miejscu miał umrzeć z rozpaczy! ale takim postępem korzystać z mojej prostoty, tak obojętnie naigrawać się z mojej niedołężności, o, to okropnie! bezbożnie!... Potem znów uniewinniłem ją; mówiłem sobie, że to zapewne wymysł rotmistrza, że on łamał sobie nad tem głowę, a ona kochając go ślepo, zgodziła się na wszystko. Ale dla czegoż mnie nie ostrzegła o tem? ha! zapewne rotmistrz jej tego zabronił.

Przyjechawszy do domu, powiedziałem służącemu, że jestem mocno chory, nie kazałem nikogo przyjmować i zamknąłem się w gabinecie. Długo leżałem jak martwy na łóżku, nie mając odwagi wyjąć bilecik Emmy... i dziś nawet nie mogę go przeczytać bez goryczy! Nareszcie wziąłem go do rąk. Oto, co w nim było:

„Cher, adorable Xavier! Spodziewając się że jutro będziesz u nas, piszę do Ciebie tylko kilka wyrazów. Pantofel przywiózł mi twój bilecik o dziesiątej z rana; pomyśl więc, że od listu do tej błogosławionej chwili, w której Ciebie samego zobaczę, skazałeś mnie na 26 godzin oczekiwania! 26 lat prędzej przechodzą dla innych, jak dla mnie ta doba!

Cher Ange! błagam cię — wszak ty taki dobry, taki tkliwy, wysłuchaj mojej prośby, przyjedź jutro wcześniej. Sama nie wiem, dla czego dziś jestem więcej smutna, jak zwyczajnie?...

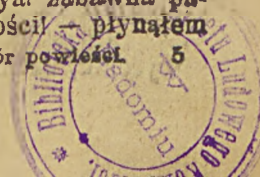
Nasz Pantofel chory i nieborak bez żartów gotów położyć się do łóżka. Mon ami! poszlij zaraz po doktora, a sam nastrasz naszego kuryera, że jeśli nie będzie regularnie przyjmował lekarstwa, to może umrzeć... on taki tchórz!... to go zrobi troskliwszym o swoje zdrowie. Zresztą l'éperon domine la Pantoufle, nie wątpię, że go wyleczysz prędko i nasza poczta będzie znowu regularnie chodziła. Jednakowoż gdyby długo chciał chorować?... o, wtedy gwałtem posadź go w sanki i przyszlij go do mnie; powiedz, że ja go koniecznie chcę widzieć. Inaczej cały mój fortel pięknie, comme une bulle d'air.

Żegnam cię, mój miły! najmilszy i t. d.

Przeczytawszy to krótkie lecz jasne i wyraźne rozwiązanie zagadki mojego losu, dowiedziawszy się, że Emma więcej jeszcze chytra i nieczuła, jak sobie wyobrażałem w zapalczywości mojego gniewu upadłem na łóżko bez zmysłów i w gorączce przeleżałem całą noc.

Nie spałem, ale czuwanie moje było pasmem najokropniejszych widziadeł, nieprzerwanym wątkiem piekielnych uczuć. Z tego wszystkiego, przyszedłszy cokolwiek do rozumu, przypomniałem sobie tylko jeden ustęp tej straszliwej sceny. W tumanie gorączki zdawało mi się, że byłem gdzieś na morzu. Świszczały wichry, szumiały bałwany, huczał grom po gromie i zaślepiający ogień błyskawic co chwila jaskrawym ogniem oblewał niebo!

Zdawało się, że wybiła dla natury ostatnia godzina. Na wzburzonej pustyni morza ja byłem sam jeden i dziwna fantazya! zabawna parodya pierwszego snu mojej miłości! — płynąłem



w ogromnym szkaradnym pantoflu, pełnym dziur, przez które ciągle nalewała się woda. Na środku nawy stał maszt z żaglem, który gwałtownie targały wichry, lecz za każdą błyskawicą zwracały go w moją stronę, jakby dla tego, ażebym na żaglowem płótnie mógł czytać bilet Emmy, napisany wielkiemi literami.

Wokoło mnie wiły się obrzydliwsze od gadów pantofle i jakby patrząc na mnie, wychylały z wody swe podarte przodki. Tymczasem przydeptana pięta mej nawy-pantofla, coraz więcej pogrążała się w głąb morską i przymuszała mnie rejterować się na drugi koniec; lecz, niestety! tam stał Albert i odpychał mnie w fale!...

Rano nie miałem siły podnieść się z łóżka. Służący wyłamał drzwi. Od niego dowiedziałem się, że rotmistrz był u mnie wieczorem raz sam, a drugi raz z doktorem i że doktór nie kazał mnie budzić. Właśnie miałem kazać znów zamknąć drzwi, kiedy wszedł Szabelski i spojrzawszy na moją zmienioną twarz, szczerze zaczął mnie wypytywać o syptomata choroby. Długo mówiliśmy z sobą, tak długo, że sanki, które go miały odwieźć do Emmy, przeczekały więcej jak godzinę na dworze.

Rozmowa nasza zaczęła się z mojej strony gorzkiemi wyrzutami, które przerywały często łzy i łkania. Rotmistrz milczał, przeszedł się kilka razy po pokoju i znów usiadł. Widać było walkę w jego sercu; lecz to serce było szlachetne, prawdziwie męskie. Przyjął całą winę na siebie i zrobił więcej, aniżeli potrzeba było do jej zgładzenia.

O! ja mu przebaczyłem! przebaczyłem w zachwyceniu, że niebo dało mi poznać tę prawdziwie

szlachetną duszę i odtąd byliśmy do samej jego śmierci prawdziwymi przyjaciółmi. Emmie nie mogłem przebaczyć. Szperałem we wszystkich zakątkach mojego serca pobłażającego dla niej uczucia i nie mogłem go znaleźć.

Tem się kończy pierwsza namiętna i nieszczęśliwa moja miłość. Epilog jej prosty i krótki: po ciężkiej chorobie, w której rotmistrz był nieodstępnym moim stróżem i pocieszycielem, wyjechałem z Kozienic, a on się ożenił z Emmą.

Wiadomo, że Paskal, obawiając się zgrzeszyć dumą, nosił na biodrach przepaskę z żelaznemi kolcami, które pięścią wbijał sobie w ciało przy każdej myśli niezgodnej z chrześcijańską pokorą. Naśladując tego znakomitego męża, nosiłem zawsze na sobie bilecik Emmy, ażeby on utrzymywał w mem sercu niewygasłą pogardę dla niewieściego rodu. Codzień wieczorem odczytywałem to arcydzieło hypokryzyi, pielęgnowałem w sercu hydrę pamiątek i jak ów starożytny król-wygnaniec, karmiłem się trucizną.

Takim sposobem niosłem kilka lat brzemię życia w cierpieniu i prawie nędzy; śmierć stryja, jak już mówiłem, poprawiła moje okoliczności. Nieboszczyk zostawił mi znaczny majątek, proces tak dobrze prowadzony, jakby już wygrany, z panią R..., młodą wdową, od której miałem odebrać pięćdziesiąt tysięcy talarów. Ten proces był początkiem drugiej mojej miłości, uwieńczonej, niestety! węzłem małżeńskim!

Pani R... straciła męża w młodych latach. Kiedy ją poznałem, miała nie więcej, jak dwudziesty siódmy rok. Wysoka, brunetka, kształtna jak palma, biała i delikatna jak lilia, twarz miała bardzo regularną, nawet piękną, lecz rysy miały

coś ostrego i fizyognomia jej była łagodna wtenczas tylko, kiedy ją ożywiała chęć podobania się komu; oko czarne, pełne ognia, charakter nadzwyczajnie wesoły. Dowcip jej i lekkomyślność były znane w całej okolicy i wspominane nawet w salonach Warszawy, gdzie przepędziła pierwszy czas po swojem wyjściu za mąż. Nieboszczyk pan R był człowiek z wąsami jak u suma i uparty jak kozieł. Pani R. często płakała, że jej nie dawał żadnej woli, obchodził się z nią jak turek, nie ubierał jej przyzwoicie i nie wyprawiał balów. Zostawszy wdową, Konstancya wzięła do siebie starą ciotkę, ażeby w opinii świata być pod opieką, rzeczywiście zupełnie swobodną. W kilka lat stroje i wszelkiego rodzaju pustota jakby w dym obróciły połowę majątku, a o drugą połowę stryj mój zaczął proceder. Konstancya, widząc bliską zgubę i obawiając się ubóstwa więcej jak śmierci, zaczęła nawiedzać swego przeciwnika i sąsiada, w nadziei, że się jej uda ugłaskać starego szlachcica, znanego powszechnie ze słabości dla płci pięknej. Kilka wizyt przekonały ją, że gościnność i uprzejmość zupełnie nie przeszkadzają starym seladonom popierać sprawę w trybunale i wtedy pierwszy raz w życiu zwątpiła o sobie. Od samego dzieciństwa wszystko się wiodło tej kobiecie; nie dosyć, że każde jej życzenie spełniało się niemylnie, często nawet fortuna zdawała się uprzedzać same jej kaprysy.

— Szczęśliwa jak pani R. — mówiły kobiety w okolicy, kiedy się której coś trafiło nadzwyczajnie pomyślnego.

Zdarzało się, że ktoś, patrząc na zbierające się chmury, mówił:

— Będzie deszcz.

— Nie będzie—odpowiedziano mu.—Pani R. ma mnóstwo gości w ogrodzie,

I istotnie dopiero w nocy deszcz lał jak z wiadra.

Można sobie wystawić, co się działo w tem zbałamuconem od fortuny sercu, na samą myśl o ubóstwie, któreby ją nieomylnie spotkało, gdyby stryj mój nie umarł przed zupełnem skończeniem procesu.

W kilka dni po przyjeździe moim do dóbr nieboszczyka odebrałem list od pani R., liścik na różowym papierze, rozkosznie złożony, tchnący jakąś rajską wonią, napisany po francusku, ślicznym kobiecym charakterem i żywym, kwiecistym, pełnym dowcipu stylem. Sama powierzchowność tego kawałka papieru tak zachwycała oko, że niepodobna było obojętnie wziąć go do ręki. Kobiety z gustem mają jakiś tajemniczy talent przelewać wdzięk na wszystko, czego się tylko dotkną, a pani R. była mistrzynią co do gustu. List był dość krótki. Winszowano mi przyjazdu i życzono poznajomienia się, dodając, że ta znajomość będzie dla piszącej tyle przyjemną, ile użyteczną dla naszych wspólnych interesów, lecz w tej świeckiej szczebiotliwości kobiecego pióra było tyle słodyczy, tyle wdzięku, tyle salonowej uprzejmości, że najtwardsze męskie serce mogłoby się nieco poruszyć z miejsca, a cóż mówić o człowieku, który raz zdradziwszy się, przestał myśleć o tem, żeby kobieta mogła zwrócić na niego uwagę? Ten list, jak potok elektryczności, wstrząsnął całą moją istotą. Objąwszy majątek niespodziewanie, wiedziałem tylko, że mam proces z jakąś kobietą, ale do głowy mi nie przychodziło, żeby to

była pani R. O jej osobie, charakterze i okolicznościach także nic jeszcze nie było mi wiadomo.

Oddając pierwsze wizyty sąsiadom, zajechałem prawie najpierwej do pani R., niezupełnie odważnie, to prawda, jednakże daleko spokojniej, jak wtedy, kiedy śpieszyłem znajomić się z familią pani Dobr... Własny kocz i własne konie ośmielają najsłabsze nawet charaktery. Zastałem Konstancyę w rozkosznym, gustownym stroju, jak gdyby spodziewała się znakomitego gościa. Powierzchowność jej sprawiła na mnie miłe, mocne wrażenie, jednakże niezbyt gwałtowne, albowiem zostało mi jeszcze tyle rozwagi, że mogłem rozpatrywać ubrania pokojów, w którem widać było najwykwintniejszy smak. Tryumf pani R. zaczął się ledwie po kilku chwilach.

Wdzięk jej rozmowy, zajęcie się moją osobą i jakaś miła kokieterya, która umiała być ślepą na każdą moją niezręczność, głuchą na każdą niedorzeczność, a baczną na każde dowcipne słowo, oczarowały mnie zupełnie. Kto nigdy nie znał światowej kobiety, nie ma wyobrażenia, ile ten fantastyczny twór natury mieści w sobie oślepiających powabów! Jak prosty kamyczek przybiera w kalejdoskopie tysiąc coraz innych i coraz piękniejszych kształtów, jak brylant błyszczy i mieni się w promieniach słońca, tak światowa kobieta umie każdą drobnostką zachwycić obecnych, tak wokoło niej jednoczą się, błyszczą i pryskają iskrami, czucie, dowcip i wdzięk. Prawda, że serce też takiej kobiety jest tak twarde i zimne, jak brylant, o tem mówiły nam jeszcze nasze babki, ale powiedzcie. na miłość Boga, czy patrząc kiedy na ten śliczny kamień, myśleliście o tem, że on twardy, że on zimny, i że gdy go chemik rozłoży na atomy, to obraca się w lekki

gaz, w coś takiego, czego nawet nie można wziąć w rękę. to jest w zero dla czucia? Otóż to i biada, że kiedy człowiek mocno czuje, to ani myśli ani rachuje, ani waży jak filozof, matematyk, lub kupiec. I ja w tej pamiętnej dla mnie godzinie nie myślałem o niczem, nie wierzyłem moralistom i to, co kiedyś sam sądziłem w tym względzie, zdało mi się płaskiem, bez smaku i pozbawionem dowodów.

Całe moje życie fizyczne było natężone w oku i uchu, a dusza, jakby ulotniwszy się z ciała, krążyła wokoło tej czarodziejki salonu, której miała zostać niewolnicą. Nie wiem jakiemi sobie wyobrażają turcy te nieśmiertelne dziewice, które Prorok obiecał im w raju; co do mnie, to gdybym był turkiem, chciałbym aby raj mój był napełniony takiemi kobietami, jaką była Konstancya, kiedy ją poznałem.

Było już późno, kiedy wyjechałem od pani R... uszczęśliwiony, oczarowany, dumny sam z siebie. Zdało mi się, że w ten jeden wieczór słaba moja istota, wzburzona namiętnie stargała na sobie pęta uniżenia i wracałem do domu jak rzymski dyktator po najświetniejszym zwycięstwie.

Cała przyszłość mi się uśmiechała. Pani R... z ujmującą otwartością skarżyła się przedemną na nudy i przy pożegnaniu wymogła na mnie obietnicę nawiedzać ją tak często, jak tylko pozwolą mi okoliczności. Ile nadziei, ile marzeń obudziło się w mej duszy! Ta kobieta, szeptał mi z cicha egoizm, istotnie umie poznawać ludzi. Tutejsze towarzystwo rzeczywiście bardzo nudne. Nieboraczka! nie ma nawet z kim pomówić!...

Razem z majątkiem spadło na mnie nie mało kłopotów. Nieboszczyk stryj pozaczynał kilka

budynków, kilka nowych zaprowadzeń gospodarskich, miał różne spekulacye, proces i t. d. Rozumie się, wypadało mi te projekta uskutecznić a przynajmniej przyprowadzić do porządku.

Nie rozumiejąc zupełnie ani gospodarstwa, ani interesów prywatnych i sądowych, musiałem słuchać co mi mówiono; takim sposobem dostałem się pod władzę mego ekonoma i plenipotenta.

Pierwszy prawił mi codzień nudne legendy o ziemiaństwie, a drugi napisał z Warszawy tak długi list, że wróciwszy od pani R... nie miałem odwagi przeczytać więcej jak dziesięć wierszy. Obydwa jakby umyślnie używali tak zabawnego dyalektu, że przy całej mojej uczoności nie pojmowałem czego chcą odemnie.

Po kilku dniach znudziły mnie wszystkie interesa, kazałem ekonomowi rządzić majątkiem tak, żeby dochody nie były mniejsze jak przy ś. p. stryju, a plenipotentowi poleciłem jak najprędzej kończyć wszystkie interesa i odtąd listy jego składałem nierozpieczętowane jeden na drugim postanowiwszy przeczytać je w wolniejszym czasie.

Wiedziałem, że mam jakiś proces, ale z kim? i o co? tego nie byłem ciekawy dowiedzieć się. Zresztą, alboż to mało bywa procesów? mówiłem sobie, kiedy mi to przychodziło do głowy.

Stryj mój, jak wielu starych ludzi, procesował się pewnie z nudów, a ja się nie nudziłem... Pocóż mi było zajmować się procesem, kiedy miałem nawet plenipotenta? Jeździłem sobie do pani R... pocieszać ją, albowiem ciągle się uskarżała na małą liczbę osób dobrze wychowanych w okolicy.

Hm! myślałem nieraz, więc ta zachwycająca kobieta istotnie znajduje przyjemność w moiem

towarzystwie! I czy można było wątpić o tem kiedy każdym razem po elegii w guście Younga, zwracając na mnie błagające spojrzenie, prosiła jakby największej łaski, żebym nie rachował godzin mej wizyty, a kiedy jej to przyrzekłem, natychmiast smętność znikała z jej twarzy, oczki świeciły się jak dwie gwiazdeczki, weseliła się jak dziecko, rozsypywała przedemną niewyczerpane skarby swego dowcipu, grała cudowne melodye na fortepianie, śpiewała przy arfie, prowadziła mnie do swego czarującego ogrodu, jednem słowem nie naruszając przyzwoitości, nie dotykając nawet strony czucia, umiała wlać w mą duszę więcej rozkoszy, jak inne kobieta przy zupełnie otwartem postępowaniu. Wizyty moje były coraz częstsze, coraz dłuższe, nareszcie wracałem do domu tylko na nocleg.

Nie mogłem żyć bez tej kobiety, bo dała mi poznać taki czarowny świat, że ten, w którym dotąd pełzłem jak gadzina, zrobił się dla mnie nieznośnym. Powiadają, że czas jest największym nieprzyjacielem niestosownych związków, albo, że widząc kogo często, odkrywamy w nim niezawodnie jakiekolwiek wady. Nieprawda, wierzcie mi, że to nieprawda; absurdum est; to tylko można powiedzieć o zwyczajnej kobiecie, która nie umie nic więcej, jak kochać, dziś, jutro, za rok i jeśli się nie namyśli, to i dalej, ale kobieta światowa, im więcej poznana, tem więcej zachwyca.

Ona, będąc ciągle ta sama, nieustannie wydaje się inną, zawsze zajmującą. W tej niepojętej czarodziejce wyobraźnia, jeśli mogę tak się wyrazić, ma serce, a to, co my nazywamy sercem, znajduje się w niej nie dla tego jedynie, aby w niem krew przelewała się z jednej komórki do

drugiej, nie, jej serce jest prawdziwie żyjącą istotą, która więcej jeszcze ma wyobraźni, rozumu i gustu, niż samego czucia. Przypuśćmy, że to serce zimne; ale któż temu uwierzy, kiedy często pałająca miłość wybucha z niego, jak ogniste snopy wyrywające się ku niebu przez lodowate rozpadliny islandzkich wulkanów. Przyjemny dźwięk głosu, nadzwyczajna płynność potocznej mowy, rozmaitość wyobrażeń, obszerność wiadomości, przenikliwość i trafność w sądzeniu o każdej rzeczy, niewyczerpany dowcip i wreszcie te na pozór tak starannie skrywane, a w istocie tak pojętne wylewy serca, dają jej coraz nowe środki zajmować mężczyznę.

Ujmująca uprzejmość światowej kobiety zgaduje myśli i życzenia, a ona jest zawsze tak uprzejmą, że każdą chwilę obojętną za straconą liczy. Jednem słowem, w światowej kobiecie zdaje się jest dziesięć rozmaitych i równie doskonałych kobiet, tyle szczęścia może zlać na mężczyznę, prawda, że i nie mniej niedoli.

Konstancya miała talent urozmaicać najzwyczajniejsze sprawy, najprostsze drobnostki; samo przywitanie się jej ze mną było zawsze inne. To mnie czekała w altanie, to spotykała konno w amazońskim stroju, to z książką siedziała w oknie, to ubrana rozkosznie, jak Kleopatra, kołysała się w ślicznej łódce na środku stawu...

Dziś nie jestem w stanie nawet przypomnieć sobie wszystkiego, co dla niej tak łatwo było wymyślić. Z czasem, kiedy znajomość nasza zrobiła się więcej ścisłą i gdy już nazywaliśmy siebie po imieniu, o! wtedy upojenie mojego serca, przewyższyło wszystko co tylko kiedy marzył poeta! Konstancya, widząc moją nieśmiałość sama zro-

biła pierwszy krok, wyznała mi swą miłość, i wziąwszy, że tak rzekę, szturmem to serce, któreby się nigdy nie odważyło na miłosne oświadczenie, poświęciła mi odtąd każdą chwilę dnia, każdą myśl swej duszy, każde wzruszenie swego łona. Szczęśliwy, kto kocha, lecz stokroć szczęśliwszy ten, kto jest kochanym, kogo pielęgnuje i pieści kochanka, jak matka pierwsze swoje dziecię!...

Tymczasem proces z panią R... szedł swoją drogą, chociaż jak powtarzam, zupełnie nie wiedziałem, że się z nią prawuję. Wy się dziwicie, jak się to mogło zdarzyć?... O nie dziwcie się! wszak ja Pantofel! Pomyślcie raczej, że to było arcy zabawnie! Ten sam człowiek, który w salonie rozpływał się od czułości, w trybunale wydzierał swej ulubionej cały majątek ze stratą którego czekało ją żebractwo. Gorliwy mój plenipotent, jak się potem przekonałem ze stosu jego nierozpieczętowanych listów był pewnym wygranej, i oczekiwania jego niemylnieby się sprawdziły, gdyby wyrok na tę sprawę zapadł jedynie w trybunale podług praw krajowych. Lecz pani R... miała zupełnie inny projekt, postanowiła wygrać sprawę w swoim własnym salonie i wynagrodzić sobie nietylko koszta procesu, ale nawet to, co lekkomyślnie roztrwoniła od śmierci pierwszego męża.

Raz przyjechawszy zrana, zastałem ją we łzach; włosy w nieładzie spadały kędziorami na wpół obnażone ramiona; w ubiorze jej zwyczajnie tak wykwintnym, widać było jakieś zaniedbanie; zdawała się być mocno strapiona. Witam ją, nie odpowiada; pytam, milczy. Nareszcie po długiem błaganiu, kiedy sam już byłem rozrzewniony jak

dziecko, spojrzawszy na mnie łzami zalanem o kiem, wyjawiła mi całą tajemnicę.

Nie będę,—dodała—robić ci wyrzutów: wszak u was mężczyźni miłość miłością, a interes interesem. Ja biedna kobieta nie mam tak mocnej głowy, żeby jedno i drugie mogło się w niej pomieścić. Oddawszy się zanadto miłości, nie mogłam należycie zajmować się procesem, i będąc przekonaną o sprawiedliwości mych praw spokoj nie czekałam końca. Zresztą myślałam sobie, że człowiek z honorem, mający przyzwoity majątek, nie zechce zapewne pozbawiać bezbronnej kobiety ostatniego sposobu do życia i zbliżyłam się do ciebie w nadziei, że bez sądu, po przyjacielsku, skończymy tę sprawę. Później kiedy serce uniosło mnie dalej, jak się spodziewałam, zdawało mi się nawet nieprzyzwoitem wspominać o tem, coby mogło rzucić na mnie podejrzenie, że cię chciałam podejść, lecz zarazem poznawszy lepiej twój szlachetny charakter, nie wątpiłam, że sam zrobisz pierwszy krok do sądowej zgody. Omyliłam się! Niechaj ci Bóg daruje, tak, jak ja ci przebaczam! Żegnam cię. Jesteś już, albo wkrótce będziesz panem wszystkiego, co dotąd było mojem, jutro wyjeżdżam!

— Nie wyjedziesz, droga, najmilsza Konstancyo! — zawołałem padając przed nią na kolana.

Długo usprawiedliwiałem się w mej niewinności, przekonywałem ją że nie myślałem nigdy, żebym miał z nią jaki proces, że nikt mi nic nie mówił o tej sprawie, a listy plenipotenta leżą nierozpieczętowane i nakoniec cała ta teatralna scena skończyła się jaknajśliczniej.

Konstancya była tak dobra, że mi wybaczyła całą winę, a za kilka tygodni oddała mi swą rękę przed ołtarzem. Wprzód jednak, nim pani R. zniknie w tej powieści, muszę wam powiedzieć, że po kilku miesiącach mój plenipotent, zdając mi papiery, powiedział pod sekretem coś do ucha: Pani R... jeszcze w początku naszej znajomości ofiarowała mu znaczną sumę, żeby tylko pozwolił jej wygrać sprawę, lecz ten zacny człowiek wzgardził tą ofiarą!

Pierwszy miesiąc po ślubie nazywają zwyczajnie miodowym, ja znałem ledwie połowę takiego miesiąca, lecz ta połowa warta wieku zwyczajnego małżeńskiego szczęścia!.. Jednakże dla czego tylko dwa tygodnie?.. wszak to tylko 14 dni! wszak to tak niewiele!.. Niestety! sam nie wiem! Upojony szczęściem, nie pomyślałem, że ono może zniknąć jak dym, jak ślad wiosła na wodzie!..

Wśród pieszczot młodej żony, któż nie zapomni ostrożności? Kto zmiarkuje, że w małżeństwie może być różnica między mojem a twojem? Konstancya na drugi dzień po ślubie, żartując z naszego procesu, prosiła mnie, aby jej majątek kazać zapisać na moje imię, albowiem istotnie był moją własnością. Udawszy, że się zgadzam na to, zrobiłem zupełnie przeciwnie, zapisałem jej cały mój spadek po stryju. Ona zrobiła się bogatą, ja dobrowolnie wyzułem się ze wszystkiego. Ledwie przeszły dwie niedziele, podałem jej moje odrzeczenie się od majątku. Każdy się domyśli, ile ta siurpryza ją ucieszyła.

Nieumiarkowana, dziecinna jej radość zadziwiła mnie. Pytałem siebie samego: dlaczego ten dowód ufności tyle ją zachwyca? czyliż mogła

kiedy wątpić o mojem przywiązaniu? jednak byłem zupełnie spokojny. Majątek nie przeszedł w cudze ręce, czegoż się więc miałem obawiać? wszakże wkrótce spostrzegłem, że chociaż on był nasz, ale już nie był mój.

W kilka dni potem rozpadł się w gruzy kolosalny gmach mojego szczęścia; kochanka i żona znikły, jak miłe obrazy poznane we śnie; ocknąłem się, przedemną stała lekkomyślna, światowa kobieta. Dom nasz napełnił się gośćmi, zaczęły się nieustanne zabawy, rauty, obiady, bale, pikniki, literackie wieczory, domowy teatr, spacery i pieszo i konno, i na wodzie, słowem wszystko, co tylko może wymyślić bujna wyobraźnia światowej kobiety.

Młodzież z całej okolicy gruchnęła do nas jakby na kwaterunek. Mundury, fraki, sukienki, poezya, proza, muzyka, istoty w butach i istoty w trzewikach, każdy był miłym gościem, jeśli tylko umiał być wesołym. Z Warszawy od wszystkich modystek szły do nas ogromne karawany strojów, wszystko to było nieodbicie potrzebne, „le stricte nécessaire“—jak mówiła Konstancya.

Przeczuwałem, na czem się to wszystko skończy, ale nie mogłem temu zapobiedz, majątek był własnością mojej żony, i miała prawo rządzić nim według swej woli. Ja, mąż jej i dobroczyńca, byłem jak obcy we własnym domu; zostałem znów Pantoflem, który obojętnie deptała nietylko Konstancya, ale nawet i ludzie dworowi.

— N'infecter plus mes salons, rzekła mi raz z gniewem żona, i od tego czasu noga moja nie śmiała przestąpić zakazanego progu. Siedziałem dzień i noc w swojej komórce na poddaszu, sły-

szałem pod sobą muzykę i śmiechy, a często i głośne toasty dochodziły do mnie właśnie wtedy, kiedy kuchcik z litości przynosił mi ogryzki z bankietu.

Zawołać mi Pantofla, tak zwyczajnie wyrażała się Konstancya, kiedy obecność moja była jej potrzebną. Lecz wiecież dla czego mnie wołała? dla tego tylkoby posłać mnie po co do miasta, kiedy wszyscy słudzy byli zajęci, i to zwyczajnie w nocy, ażeby mnie nikt w mieście nie poznał, żeby mnie swym pantofelkiem passować na rycerza, żebym ją bawił jak błazen, kiedy była w złym humorze albo nareszcie żeby się samej zabawić nademną.

Najdziwaczniejsze fantazye przychodziły jej do głowy: coś podobnego do marzeń Hofmana, tylko w innym rodzaju; jakaś mieszanina, w której była loika i niedorzeczność, uprzejmość i okrucieństwo, nieumiarkowana wesołość, poezya i jakiś dziki dowcip, gorszy daleko od prozy. Powierzchowność jej przybierała w takim razie odpowiadające tej roli wyrażenie, i wówczas Konstancya była podobna do młodej kotki, bawiącej się z myszką. Dla przykładu opowiem jedną scenę, którą lepiej niż inne sobie przypominam.

Jednego poranku Konstancya, wydawszy swemu marszałkowi wszystkie rozkazy, i poburczawszy na niego, że jej śmiał donieść o niedostatku pieniędzy w kasie, klasnęła w dłonie podług tureckiego zwyczaju. Zawołać mi pantofla i zawołano mnie z poddasza.

— Co rozkażesz? moja Kostusiu! spytałem ostrożnie i zcicha, wszedłszy do rozkosznego jej gabinetu.

— Aha! to ty? krzyknęła radośnie, jakby najczulsza żona, ujrzawszy męża, wracającego z za morza. Jak się masz, mój aniele! Wszak ty mnie kochasz? ty mnie mocno kochasz?... ty mnie mocno kochasz?...

— Kocham, odpowiedziałem z westchnieniem.

— No jeśli kochasz, to mi zapewne nie odmówisz jednej drobnostki, jednej bagatelki, mniejszej ot, niż łepek tej szpilki?

— Nie odmówię, choćby była większa od bomby.

— Ach. ty wiesz, że ja nigdy nie żądam od ciebie wiele, jeśli mnie kochasz, nie noś tylko butów.

— Ja i teraz jestem bez butów, te bowiem, które widzisz u mnie na nogach, są pożyczone od Jacka, lokaja ś. p. stryja i dobrodzieja.

— Mniejsza o to, ja cię błagam i zaklinam na wszystko. nie noś odtąd ani swoich, ani pożyczanych butów.

— Dalibóg nie rozumiem dla czego żądasz takiego dowodu przywiązania? Miej litość nademną, wszak zima blizko!

— I ty miej litość nademną, mój jedyny! Czy chcesz, żeby wszyscy szydzili ze mnie, że mam cztery nogi i chodzę w czterech butach?... O Boże! jam mam być czworonożnem zwierzęciem!!... ja mam chodzić w butach! i jakby w rozpaczy zakryła sobie twarz obydwoma rękami!...

— Co takiego? rzekłem, jakim sposobem? wytrzeszczyłem oczy zdziwiony.

— Oto takim sposobem, ja ci natychmiast wszystko wytłomaczę. Niemasz nic Prostszego. Ty Pantofel, prawda?

— Prawda, lecz cóż z tego wypada?

— Zobaczysz co z tego wypada, słuchaj tylko mój klejnocie! A zatem kto włoży na nogę pantofel, kładzie z nim razem i nierozdzielną od niego parę butów, a kto włoży parę pantofli, nosi mimowolnie cztery buty, a zatem ma cztery nogi, jest jakiś dziwoląg, jakaś potwora! O Boże! a wszyscy wiedzą, że ja całe rano chodzę w pantoflach. I cóż? okrutniku!... czy chcesz, żeby wszyscy pokazywali na mnie palcami! O! zaklinam cię, mój aniele, nie noś butów, zmiłuj się, nie noś butów!... I przy tym wykrzykniku uklękła przedemną w teatralnej, lecz zachwycającej pozie.

— Nie będę, nie będę ich nosił, zawołałem, nie wiedząc sam czy mam się smucić, czy pękać ze śmiechu, czy całować tę śliczną kobietę, która załamawszy dłonie, klęczała przedemną. Lecz nim zdążyłem namyśleć się, Konstancya już wstała, zawołała z przeraźliwym śmiechem:

— Dziękuję ci, mój aniele! szybko zdjęła pantofelek z jednej nóżki, klapnęła po czemś miękkiem w sąsiedztwie mojego nosa i wypchnęła mnie za drzwi. Wszystko to nie trwało nawet minuty. Takie drammy zdarzały się dość często. Nie pojmuję dla czego nie mogłem się rozgniewać na żonę. Miłość moja nie tylko nie zmniejszała się, lecz przeciwnie, po każdem zobaczeniu się z nią, więcej jeszcze kochałem tę dziwną kobietę. Świat zupełnie nie wiedział o moim losie.

Mój mąż ciągle chory, albo mój mąż wyjechał do Warszawy, mówiła Konstancyya tym, którzy czasem pytali się o mnie; lecz pytano rzadko i nakoniec zapomniano, że pani R... ma męża. Ja sam sądziłem, że jestem kawalerem, chociaż rozłożyste rogi i nos dłuższy niż u sło-

nia, mogły mi przypomnieć w każdej chwili, że miałem młodą żonę! O, tak! ja nosiłem rogi... ale zamilczę o tem, bo to więcej należy do historyi mojej żony, niż do mojej własnej, a ja postanowiłem tu mówić tylko o sobie.

Chciałbym opisać wszystko, co się działo w mej duszy, ale po co? Nikogo to wtenczas nie zajmowało i teraz każdyby to przeczytał jak bajkę Ezopa, nawet taki sam, jak ja, Pantofel!... Śpieszę więc prędzej do końca tej ciężkiej dla mnie spowiedzi.

W kilka lat majątek nasz nadzwyczajnie się zmniejszył, jedna wieś po drugiej znikała, jakby pochłonięta pożarem, albo wrogami obrócona w perzynę. Na nieszczęście, razem z tym ubytkiem powiększała się jeszcze lekkomyślność Konstancyi, tak jak stawki szulera, kiedy mu się w grze nie wiedzie. Charakter jej robił się coraz więcej gniewliwym, niemal krwawym, namiętnym.

Zwyczajne zabawy już ją nudziły; zaczęła szukać silnych wrażeń, a dla tego, jak wiadomo, jeśli kto nie lubi wina, niezłe są karty; karty są nawet lepsze od wina, albowiem 52 silnych wrażeń w talii, rozumie się, prędzej prowadzą do celu, niż jedno silne wrażenie, choćby ono było tak wielkie, jak beczka.

Cała zgraja jej przyjaciół, jak spłoszone kawki, odleciała w stronę; został jej tylko mały domek na przedmieściu w Kaliszu, jedna służąca i Pantofel!

Wieczór był ciemny, wiatr i deszcz okropny, dwie żydowskie fury zwolna podjechały do tego ostatniego przytułku świetnej niegdyś królowej salonów. W jednej furze leżała na pół martwa Konstancya, obłożona pierzynami i służąca siedziała

na przodzie obok woźnicy, druga była naładowana strojami, bez których moja biedna żona nie mogła sobie przedstawić żyjącej kobiety. Z tyłu daleko za furami szedł blady, wychudły jak szkielet mężczyzna, w podartem odzieniu i ledwie wyciągał z błota bose nogi—to byłem ja.

O Boże! jeszcze wczoraj za ostatnie pieniądze Konstancya mieszkała w pierwszym hotelu w Kaliszu i zostałaby w nim do mojej śmierci, gdyby policya nie zmusiła jej do emigracyi.

Pozostały jej domek tak był nędzny, że nikt go nie chciał kupić. Dante możeby opisał stan jej duszy, kiedy weszła do tej rudery i rzuciwszy się na pościel, załamała ręce w rozpaczy... ja tego nie potrafię!

I mój stan był okropny, to zrozumie każdy. Długo stałem jak osłupiały nad zemdloną Konstancyą, wreszcie ocucony z tego bolesnego letargu padłem na kolana, modliłem się kilka minut jak człowiek, który spieszy zrobić dobry uczynek przed śmiercią i poleciwszy żonę staraniom służącej, wybiegłem z domu jak szalony.

Lecz ten w całym pędzie biegnący mężczyzna, wam nieznajomy, moi czytelnicy! To nie byłem ja, to nie był Pantofel; w tej chwili był to człowiek z mocnem postanowieniem, z charakterem nieugiętym, mąż i chrześcijanin!

Zacząłem chodzić od jednego urzędnika do drugiego, szukając wszędzie roboty, nareszcie znalazł się człowiek litościwy. Kłamią ci, którzy mówią, że niema takich w świecie! Pracowałem całą noc, rano wziąłem dobroczynnego doktora, kupiłem żywności i pospieszyłem do żony.

O, nieszczęśliwa! w jakim ona była stanie! Gorączka, rozpacz, niedostatek zwyczajnych wy-

gód, w połowę doby oszpeciły tę twarz, ongi tak miłą, tak uroczą! Okropnie było patrzeć na nią. Doktór zamyślił się mocno, przepisał lekarstwo i przyrzekł ją odwiedzać.

Co noc pracowałem w mieście, żeby nazajutrz być w stanie nakarmić żonę i kupić jej lekarstwo. Jakaś nadprzyrodzona siła obudziła się w wątłem mojem ciele a wytrwałość w duszy. Nie potrzebowałem ani snu, ani pokarmu, ani spoczynku, żeby żyć i działać.

Żyłem jedną tylko myślą — ocalić tę nieszczęśliwą!... lecz próżno. Ta kobieta dożyłaby może do stu lat w rozkosznym salonie, a w nędzy nie mogła wytrwać i dwóch tygodni!... podobna do tych delikatnych krzewów, które pod dobroczynnym wpływem południowego słońca mogą trwać długie lata, a przesadzone pod zimne niebo północy, usychają w kilka dni!...

Życie jej gasło zwolna, lecz widocznie ugasało i doktór w milczeniu oddał ją pod opiekę kapłana. Wtedy to dusza Konstancyi, jak ostatni błysk dogorywającej lampy, zajaśniała jeszcze raz dawną świetnością.

O, gdybyście widzieli jak przykładnie ta lekkomyślna kobieta spełniła ostatni obowiązek na ziemi! jak cierpliwie, jak spokojnie czekała końca swojego istnienia! z jakim szczerym żalem błagała mnie, żebym jej przebaczył!...

— Mój miły! mój drogi!—mówiła, zwracając na mnie już ciemniejące spojrzenie — gdyby mi Bóg pozwolił zostać jeszcze na tej ziemi, poświęciłabym resztę dni mojego życia, byłabym twoją służącą, twoją niewolnicą, włóczyłabym się u nóg twoich, ażeby tylko zasłużyć na twoje przebaczenie!Lecz jeśli już sądzono mi umrzeć i chwile

moje policzone, o! nie przeklinaj prochów tej, która podstępem dobiła się twej miłości, imienia i majątku i za to wszystko odpłaciła ci najokropniejszą niewdzięcznością... Ta myśl zatruwa ostatnie minuty mojego życia; ona i w wieczności będzie moją męczarnią. O! wysłuchaj ostatnią prośbę umierającej... przebacz!...

Boże! ja jej dawno przebaczyłem, albo raczej ja nigdy nie mogłem nienawidzieć tej kobiety. Ona niegdyś wlała tyle szczęścia w moje serce, że i sto lat cierpienia nie mogłoby przygłuszyć we mnie miłości, którą jej poświęciłem. Oddałem się jej zupełnie, nie pytając, czy będzie dla mnie aniołem pocieszycielem, czy katem.

Taki był koniec tej kobiety.

Własnemi rękami oddałem ziemi szczątki tej czarującej niegdyś istoty. Niedawno jeszcze miała ona wielu przyjaciół i wielbicieli; nie jeden przysiągł się, że gotów za nią oddać życie; pisali dla niej wiersze i prozę i strzelali się za jedno jej spojrzenie, a na jej pogrzebie—nie było nikogo! ani jednej duszy—oprócz Pantofla.

Ja jeden byłem na tym ostatnim wieczorze i powiedziałem jej:—Dobranoc! do zobaczenia się! a kiedy już poszła w milczeniu do pokoju wieczności, ukląkłem na świeżej mogile i podniósłszy do nieba oczy zalane łzami, zawołałem: — Konstancyo! teraz ja ciebie błagam o przebaczenie, ja jeden winienem wszystkiemu. Inny mąż zrobiłby z ciebie przykładną kobietę, dobrą żonę, dobrą matkę i rządną gospodynię: ja ciebie zgubiłem, dla tego, że mi brakło odwagi poprawić błędy twojego charakteru! Na strasznym sądzie Boga ja za ciebie będę odpowiadał, tak jak każdy

mąż, który zapomina o tem, że powinien być oj' cem i opiekunem swojej żony.

Wieczorem tegoż samego dnia, w Kaliszu, u wrót miejskiego szpitala, znaleziono mnie zemdlonego na bruku.

* * *

Na tem się kończy rękopis mojego kuzyna. Mój Boże, dla czego człowiek z taką głową i z takiem sercem nie umiał być w świecie czem więcej niż Pantoflem, kiedy inni bez głowy i bez serca... Ale co nam tam do innych? dosyć na tem, że pan Wincenty był godzien politowania. Żeby przynajmniej był butem!... los jego byłby nierównie szczęśliwszy!

Hm! a dla czegóż lepiej być butem, niżeli pantoflem?

— Chcecie wiedzieć dla czego? O dla wielu przyczyn! But ma wiele przywilejów — może skrzypieć, chociaż nie we wszystkich domach, ale w wielu bardzo, a na prowincyi skrzypieć może okropnie. Może stukać—i często stuka straszliwie, osobliwie odtąd, jak nasza młodzież zaczęła nosić wysokie korki. Przy pomocy metalowych wąsów może brzęczeć jakimś muzycznym tonem, który z całej mowy butów najmniej nieprzyjemne robi wrażenie na ucho.

But ma także wiele przymiotów. On się błyszczy, i ten blask tak mu nieodbicie potrzebny, że jeśli się dziś powala w błocie, to nazajutrz już nikt tego nie spostrzeże, on znów świetny! On zamłodu pokazuje tylko badawczemu oku swoją powierzchowność, a na starość, nie obawiając się już sądu świata, odkrywa każdemu wszystkie swoje tajniki. On, jak Achilles, umiera często od

rany w piętę, albo jak wielu jeszcze sławniejszych mężów, od podagry zaczynającej się od wielkiego palca. Cóż dziwnego, że jego portrety wiszą prawie na każdej ulicy dla dziwu przechodzących? Buty są sprawiedliwie przekonane, że jeśliby ich nie było, to połowa rodzaju ludzkiego chodziłaby boso, jak żebracy. Widzicie, że wcale nieźle być butem!... Pantofel przeciwnie, nie ma żadnych zalet; on cichy, nizki, zawsze tak otwarty, że nawet myszy mogą widzieć, co się w nim dzieje; kryje się od obcych osób, nie wychodzi na ulicę i nie bywa na wieczorach. Czego też nie wymyślą na tego nieboraka! Powiadają, że głupi dla tego, że nie chodził dotąd do szkół ani do uniwersytetu; że nierządny, dla tego, że nie chodzi na rynek; a niektórzy utrzymują nawet, że on i żyd i turek razem dla tego, że chodzi do bóżnicy i do meczetu.

Gdyby się nie zdarzały czasem litościwe kobiety, które lubią ten rodzaj... obuwia, to nareszcie wszyscyby uwierzyli mężczyznom, utrzymującym, że pantofel nieużyteczny dla rodzaju ludzkiego.

Petersburg, w lipcu 1840 r.



Dusza w sucnotach.

Wyciąg z papierów doktora.

Dusza w suchotach.

Wyciąg z papierów doktora.

A toć mówię ku pożytkowi waszemu, nie abym na was sidło wrzucił.
Św. Paweł. List do Korynt. R. 7.

Stali się podobni pelikanowi na puszczy i stali się jako kruki nocne w pustkach. Psalm 101.

Skruszenie i nieszczęście na drogach ich. A drogi pokoju nie poznali. Psalm 13.

Gdzież mądry? gdzie doktór? gdzie badacz świata tego? Izali nie głupią uczynił Bóg mądrość świata tego.
Ś. Paweł do Korynt L. I. R. 1.

Miłość wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko wycierpi.
List I do Korynt. R. 13.

Do mojego Leonka.

Zacny doktór, z którego dziennika zrobiłam dla ciebie ten wyjątek, miał zwyczaj, krom ciała, obserwować i moralne usposobienie swoich pacyentów. Ciało nadwerężone chorobą badał z powołania; symptomata duszne śledził nie mogąc się oprzeć wrodzonej do tego skłonności swego

charakteru. Ztąd dziennik jego napełniał się uwagami interesującemi nietylko medyków, ale każdego, kto nie patrzy na towarzystwo obojętnem okiem.

Wierz mi mój miły Leonku, że charakter bohatera tej powiastki, przy całej swojej ekscentryczności jest rzeczywisty. Nie ma w nim wcale tego marzycielstwa, co dziś tak często wylepia ludzi z idealnych pierwiastków. Mam to przekonanie nie tylko z wiary w sumienność zacnego doktora ale jeszcze więcej z własnego życia i doświadczenia. Na nieszczęście, widziałam kilka egzemplarzy charakteru, który się tu opisuje; egzemplarzy wprawdzie z wielą wydartemi kartkami, z innym początkiem, środkiem, końcem albo w innej okładce, ale składających zawsze to samo dzieło. Mówię: na nieszczęście, dla tego, że te charaktery obudzały we mnie zawsze głęboki żal nad smutnym ich losem na ziemi. Bohater tej powiastki nie jest niedowiarkiem, w tem znaczeniu, jak to słowo pojmowały zepsute umysły końca XVIII wieku, o nie! dzięki Bogu w naszym czasie każdy rozsądny człowiek pojmuje całą niedorzeczność i nikczemność niedowiarstwa religijnego; dziś każda myśląca głowa wierzy i umie cenić dobroczynny wpływ religii na społeczność ludzką. Ale żeby być chrześcijaninem, nie dość jednej wiary; trzeba jeszcze miłości do uczynków. Pamiętaj, moja dziecino, że jedno przekonanie rozumowe jest tylko filozofią, ale nie religią; trzeba żeby gorąca miłość Boża ogrzała to przekonanie świętym swoim płomieniem.

„Kto nie miłuje, mówi Jan św. apostoł, nie zna Boga, gdyż Bóg jest miłością, a kto mieszka w miłości, w Bogu mieszka, a Bóg w nim“. Na tym to niebieskim ogniu, na tem religijnem czuciu w sercu, zbywało bohaterowi tej powiastki, i zbywa wielu w dzisiejszem towarzystwie. Niektórzy, przylgnąwszy do świata nie postrzegają swej oziębłości religijnej, i cierpią, nie znając źródła boleści; drudzy, więcej pojmując siebie samych, znają początek złego, dręczą się nieustannem cierpieniem; skrywają je przed okiem świata, ale tak są opieszali, że zamiast nałożyć wędzidło na swe życie, wyglądają w bezsilnej nieczynności szczególnej dla siebie łaski Boga, niepomni na to, że podług słów Zbawiciela: „trzeba pukać, ażeby nam otworzono“.

„Trzy są rzeczy, mówi Paweł Św., apostoł— wiara, nadzieja, miłość, lecz z nich większa miłość. Ona jak rosa niebieska, ożywiała pierwszych chrześcian i ochoczo ich wiodła przez najsroższe katusze do palmy męczeństwa, ona jedna daje pokój w ciężkiej i ciernistej pielgrzymce żywota; ona jest zasadą wszystkiego, bo podług słów Pawła Św. „Gdybym mówił językami ludzkiemi i anielskiemi, a miłościbym nie miał, stałbym się jako miedź brząkająca, albo cymbał brzmiący. I chociażbym miał proroctwo, i widziałbym wszystkie tajemnice i wszystkie nauki, i miałbym wszystką wiarę tak iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, niczem nie jest. I choćbym wszystkie umiejętności moje rozdał na żywność ubogich, i choćbym wydał ciało moje tak, iżbym był spalon, a miłości bym nie miał, nic nie pomoże.“

Pamiętaj, mój Leonku, że kto nie miłuje Boga, niema nic stałego w ziemskich swoich uczuciach, nie znajdzie ani pokoju, któregoby sobie nie zatruł, ani żadnego szczęścia, coby wkrót-

ce nie zwiędło, ani myśli wysokiej, coby nie spospoliciała w moralnym chłodzie jego istoty, i tem więcej będzie cierpiał, im silniejsze są władze jego rozumu. Zresztą rozwinąć ten przedmiot jest celem niniejszej powiastki.

Nie zapominaj, że ten jedynie cel mam na widoku; inaczej mógłbyś przewrotnie pojąć tę powiastkę.

A teraz wejdźmy do cichego gabinetu naszego doktora. Otóż on bierze pióro i pisze wrażenia ostatniego dnia—czytaj:

I.

Znużony całodzienną jazdą, siedziałem wieczorem przy kominku, wpatrując się w fantastyczne kształty, które przybierał płomień palących się drewek i machinalnie zgrzebując rozpierzchłe węgle do ogniska.

Na dworze świszczał wiatr jesienny i turkotały powozy jadące do teatru; w pokoju cisza, jak przy łóżku śpiącego chorego; cisza solenna; ani głosu żony, ani szczebiotania dzieci, ani nawet psa, coby przerwał milczenie; kiedy nie kiedy słychać było tylko trzask głowni i głuchy szum od ciągu powietrza w kominie.

Byłem smutny, w tym dniu umarło mi dziecko, które leczyłem, i młoda panienka od lodów po gwałtownym tańcu, słowem dwoje dzieci.

— Dziwna rzecz!—myślałem sobie—dla czego podobne wypadki do dziś dnia zawsze mnie mocno dotykają, psują mi humor i budzą, jakby rodzaj zgryzoty w sercu? Wszak nie moja w tem wola, lecz Boska. Któż potrafi zatrzymać duszę

na ziemi, jeśli ją Bóg powołał do siebie? Czegóż się więc smucę jak chłopie, które latało za wróblem i nie mogło go złapać?

Potem zacząłem sobie przypominać, wielu to ja z moich pacyentów wyprowadziłem z ciężkich chorób, wiele niedołężności cielesnych udało mi się sprostować, wiele razy oświadczono mi wdzięczność ustnie i w gazetach, nareszcie i sławę doskonałego medyka, którą oddawna miałem w Warszawie, i wszystko to nie pocieszyło mnie, byłem smutny. Umysł mój mimowolnie rzucił się w drugą stronę, szukając uspokojenia. Po 14 latach doktorskiej praktyki, pomyślałem sobie, cokolwiek śmiesznie rozczulać się. Wszakże widzę codzień sceny cierpień i boleści i nie trują mi pokoju duszy; dla czegóżby ostatnia scena, kończąca burzliwy dramat życia nadzieją cichej wieczności, miała mnie więcej dotykać niż inne?... Serce i ten argument puściło płazem i jeszcze silniej ogrzało wspomnienie tych dwojga dzieci, których trupy dawno już ostygły...

— Cóż to jest? — rzekłem nakoniec. — Doktorze! nie bądź dzieckiem. W ciągu 15-letniej praktyki czyliż nie widziałeś, jak prędko się zaciera na ziemi ślad człowieka? Kto tak jak ty, widział matki w kilka tygodni po stracie ulubionego dziecięcia, uśmiechające się i tańczące na balu; kochanków po najgwałtowniejszej rozpaczy spokojnie budujących rusztowania nowej miłości; wdowców i wdowy, zawierających powtórnie związki wprzód, niż ziemia świeżej mogiły porośnie trawą... o! ten powinien leczyć ludzi tak obojętnie, jak zegarmistrz naprawia zepsute zegary. Smutna to jest prawda, ale zawsze prawda, bo każdy żak to widział za swojej pamięci.

Serce mimowolnie zamilkło: uspokoiłem się nieco, ale zły humor mnie nie opuszczał; mizantropiczne myśli zaczęły się wichrzyć w mej głowie; uczułem w sobie jakiś niewstrzymany popęd do tworzenia serdecznych syllogizmów o życiu ludzkiem i odjechawszy z krzesłem cokolwiek dalej od ognia, wysnułem w umyśle następujący wątek rozumowania:

Człowiek jest nędzna istota, istota nędzniejsza od zająca, od dudka, od kreta, od komara, od każdego stworzenia: bo każde stworzenie doszedłszy do dojrzałości, już się wstecz nie cofa, a człowiek tylko rośnie, grubieje, krzepnie, ale nigdy nie dojrzewa; on całe życie dziecko i do tego głupie, lekkomyślne, zarozumiałe dziecko; lęka się straszliwie śmierci, a codzień dobrowolnie nadweręża machinkę swego ciała; zdrów, szydzi z doktora; zasłabnie, płaszczy się przed nim, jak przed bożkiem; nieszczęśliwy, płacze; w szczęściu, nudzi się. Gdzież tu rozum? powiedzcie mi, na miłość Boga!

Te usterki w działalności duszy, są to choroby moralne. I jakżeby dusza nie miała być podległą chorobom, kiedy w niej, w całym ciągu życia, pasują się z sobą dwa jakieś nieprzyjazne pierwiastki? Zresztą, alboż to nie są choroby, te nienaturalne, lub zgubne stany umysłu, serca i całej duszy, które na każdym kroku spotykamy w towarzystwie?

Wszakci człowiek zarażony niemi zawsze cierpi, a zatem jest chory. Czyliż sprawiedliwie nie należy nazwać chorobami i niedołężnościami umysłu: roztargnienie, lekkomyślność, junactwo, poeto-manię, pedantyzm, dziwactwo, ekscentryczność, spleen, waryacyę, głupotę i t. d. Alboż

śmętność, miłość niedorzeczna, śmiesznie szalona lub brudna, kokieterya, zazdrość, oziębłość, zatwardziałość i t. d. nie są choroby serca? Nakoniec wszakci pantoflostwo, tchórzostwo, skąpstwo, egoizm, podłość, rozpacz, zemsta, bezbożność i t. d. paraliżują mniej więcej całą duszę i rozwijają w niej cierpienia moralne. Takim sposobem powstaje nowa zupełnie patalogia psychologiczna i gdyby ona z czasem stała się popularną, dosyć byłoby powiedzieć: ten człowiek ma febrę, gorączkę, astmę lub suchoty w duszy, ażeby dać wyobrażenie o jego moralnym stanie.

Kiedy są choroby, muszą być i lekarstwa; bo Bóg zostawił nam pomoc i pociechę dla każdej boleści. Każdy z nas ma sumienie, może nabyć rozumu i z niemowlęctwa staje się chrześcianinem. Czyliż tego nie dosyć? O! toby nam zapewniło czerstwość moralną i zbawienie, gdybyśmy tylko umieli trzymać w karbach powinności naszą miłość własną. Sama przez się nie jest ona zgubną i będąc zamkniętą w przyzwoitych granicach, może się nawet stać dzielnym bodźcem do pracy, wynalazków, sławy, częstokroć do cnoty, może być dla ducha tem, czem krew jest dla ciała lub ogień dla materyi. Wszakże kiedy się rozigra, kiedy zrzuciwszy hamulce, wyrwie się na wolę, stokroć trudniej ją pohamować, niżeli pożar albo gorączkę. Dziś, o! jak wzburzone, jak palące potoki samolubstwa nękają nasze dzieci!... W tym gorączkowym stanie bijemy i tłuczemy się na twardej drodze żywota, jakby w konwulsyach choroby św. Walentego.

Byłbym jeszcze dalej rozwijał tę czarną patalogię, ale mi przeszkodzono; służący podał m[illegible]

listek. Schwyciłem go z mimowolną radością, jak gdyby ten kawałek papieru był żyjącą istotą, która przyszła przerwać cierpkie moje dumy słowem pociechy.

II.

Biorąc bilecik do ręki, sądziłem, że pewnie kto z moich chorych pod wieczór ciężej zapadł i potrzebuje prędkiej pomocy. Jeszcze nie wyswobodziwszy się od wpływu chłodnych moich dum o patologii psychologicznej, uczułem w sobie naturalną reakcyę silnie pobudzającą mnie do jakiego dobrego uczynku. Pragnąłem ogrzać się litością, bezinteresowną pieczołowitością, nawet łzą skrycie zronioną na poduszkę cierpiącego. Patrzę na podpis listu... wytrzeszczam oczy, żeby lepiej uwierzyć; o, tak! to ręka Karola, mego przyrodniego brata...

Dziesięć lat nie miałem od niego żadnej wiadomości; nareszcie! nareszcie! Dzięki ci, Karolu, choć za ten późny upominek braterskiej miłości! Zrywam co prędzej pieczątkę i czytam:

„Mości doktorze i przyrodni mój bracie Ksawery!"

Osłupiałem! serce ścisnęło mi się w łonie. Boże! Boże, tegoż to ja się spodziewałem? także to przemawia do mnie ten, który miał ze mną jednego ojca? którym opiekowałem się jak rodzic, kiedy był niedojrzałem dzieckiem, na którego ja po śmierci rodziców pracowałem dni i noce, ażeby mu dać wychowanie i opędzić jego potrzeby? człowiek, który mi wszystko winien? którego kochałem nie jak brata, ale jak syna, i kiedy dorósł

jak przyjaciela? O, to okropnie! Nie umiem wypowiedzieć, jak boleśnie mnie to dotknęło! Niegdyś po wyściu z uniwersytetu pisywał do mnie, jak się wodzi w rodzeństwie: Kochany bracie! potem: Ksawery! potem prosto: Bracie! potem przestał pisywać. Był w tem wszystkiem bystry upadek czucia, bystry do tego stopnia, że sądziłem skończonem to decrescendo, a oto pokazuje się, że brat mój nie spuścił się jeszcze do ostatniego szczebla. Pisze do mnie: Mości doktorze! Co za gorzki sarkazm pod piórem najbliższego i jedynego krewnego, którego mam na ziemi! ale nie dosyć tego, dodaje jeszcze: i przyrodni mój bracie! Jakaż w tem matematycznie dokładna oziębłość, określać stopień powinowactwa, jak chemicy albo aptekarze sole i niedokwasy. Widać nie życzy sobie, żebym pomyślał o nim, jak o rodzonym bracie!... a ja, na nieszczęście, nigdy inaczej o nim nie myślałem...

Pamiętam, kiedy zaciągał się do artyleryi i przyszło mu wyjeżdżać z Warszawy, jak czule żegnał się ze mną! jak gorąco przyrzekaliśmy sobie dozgonną przyjaźń. Dwaj bracia, dwie sieroty odrębnie rzucone na świat, zdaje się, mogły mieć nadzieję, że ten związek będzie trwałym: jednakże stało się inaczej! Bóg wie dlaczego? ja tego dotąd zupełnie nie pojmuję. Z początku odbierałem od Karola listy częste, długie, pełne czucia i poezyi; potem pisma coraz krótsze, bez żadnych poetyckich wzlotów, prosto szpargaliki węzłowate prozy, od której chłodu można było zębami dzwonić. Spytałem go o przyczynę tej przemiany, nie odpowiedział mi i przestał pisywać. Po tym czasie tylko od obcych ludzi wiem, że się dosłużył stopnia, był żonaty, owdowiał. wygrał na loteryi

900,000 złotych, wziął dymisyę i gdzieś przepadł. Mówiono mi, że kilka razy był w Warszawie, wiedział, gdzie mieszkam, ale nigdy mnie nie odwiedził. Moje zajęcia doktorskie przeszkodziły mi spotkać go w towarzystwie; zresztą, zrobiwszy się panem, bywał tylko w pierwszych salonach Warszawy, które ja odwiedzałem jedynie w czasach strapienia, to jest wtenczas, kiedy do nich nikt nie przychodził. Chciałem go jednakże widzieć i poświęcając wszystkie drobnostkowe słabości obrażonego serca, zameldowałem się u jego drzwi, i cóż? lokaj powiedział mi, że pan niezdrów. Sarkazm dobrany umyślnie do kroju doktorskiej sukni!.., Stał się dla mnie tak obojętnym, że kiedy w pewnym salonie obok niego siedzący gość mówił o mnie, nie odwrócił do niego twarzy, ażeby zapytać przynajmniej o to, co grzeczność każe robić dla ludzi raz w życiu widzianych: czy zdrów? jak mu się powodzi?

A wszyscy o tym człowieku mówią z szacunkiem! Cóż to za dziwna zagadka? Ha! zobaczmy, co też on pisze w tym bileciku?

„Mości doktorze i przyrodni mój bracie Ksawery!

„Gdybym był o całe dziesięć lat młodszy niż jestem, na nieszczęście, zacząłbym ten list od przepraszam za długą przerwę korespondencyi i dla usprawiedliwienia siebie, zwaliłbym winę niezawodnie na los i okoliczności. Dziś, nie czując w sobie żadnej ochoty do tak prostego kłamstwa przed samym sobą, wolę raczej narazić się w oczach w. pana na złą opinię o moim charakterze, bo i sam zresztą nie myślę o nim pochlebnie, jak pozwolić sobie innej wymówki nad to, że korespondencya nasza przestała mnie zaj-

mować i dlatego jej zaniechałem. Jeśli to zły postępek, to przynajmniej szczere wyznanie, co dziś jest rzeczą dość rzadką.

Teraz przystępuję do interesu. Od roku jestem mocno chory; trzy miesiące leczę się już w stolicy. Doktorzy ukrywają przedemną prawdziwe nazwisko choroby, ale wiem i bez nich, że mam suchoty, suchoty tak daleko posunięte, że tylko jedną nogą stoję jeszcze na Bożym świecie, a drugą już w mogile. Oh! cette position est désagreable nawet dla najlepszego tancmistrza i dlatego życzyłbym sobie prędzej mieć obie nogi w kupie albo na ziemi, albo pod ziemią. Koledzy w. pana jednego nie mogli dopiąć, a drugiego nie chcieli. Mówią, że w. pan jesteś doskonałym w swojej sztuce; udaję się więc do niego z prośbą, ażebyś mnie odwiedził corychlej i powiedział bez ogródek, co możesz dla mnie uczynić? Zamawiam sobie jednak, ażebyś mnie pan raczył spotkać tak łaskawie, jak każdego innego pacyenta; bez wyrzutów, bo na to nowy pacyent nie zasługuje, a ja z mojej strony od nikogo ich nigdy nie przyjmowałem; bez całowań i ściskań, bo tego się nie czyni dla pacyenta; tego ja nigdy nie lubiłem, a teraz w chorobie byłyby one dla mnie zbyt uciążliwe; nakoniec bez westchnień, kiwań głową i t. d., bo to wszystko w dość nudnym stanie mojej duszy, mogłoby mnie bardziej znudzić. Co do honoraryi, pókim żywy, będę akuratnym, a po śmierci prawem braterstwa wszystko się dostanie panu Ksaweremu, od którego obecnie mam honor czekać wizyty albo wyraźnego odmówienia mi pomocy. Mieszkam w hotelu Angielskim.

Karol L.“

— Okropny lodowaty człowiek zawołałem, z goryczą, doczytawszy do końca to martwe pismo, dziwak! splennik, szalony!— Dreszcz przeleciał po mojem ciele od głowy do pięt; wzdrygnąłem się z oburzenia, i chciałem od tejże chwili zapomnieć, że mam brata; przyrzekałem sobie nie postawić nigdy mej nogi na jego progu; obarczałem go najcięższemi wyrzutami; biegałem po pokoju, złorzecząc całemu rodzajowi ludzkiemu; wszystkie muskuły drżały mi w twarzy od wzruszenia; powietrze dusiło mnie; straciłem siły, padłem na sofę; zapłakałem jak dziecko. W tej okropnej chwili pojąłem cenę łez. Łza nie jest to woda, jak mówią ludzie zepsutego serca ani płyn ułatwiający poruszenia oka, nakształt sadła pomagającego obrotom kół powozu, ani chemiczna kombinacya wody, soli morskiej, wapna i t. d. ani wreszcie prosta litera moralnego alfabetu, o, nie! jest to pożegnalny upominek dany pierwszym naszym rodzicom w chwili strapienia przez Archanioła, który zaparł za niemi wrota edeńskie, jestto kropla zdroju niebieskiego. Całe ciało człowieka jest podłe, skazitelne, ziemskie; jedna tylko łza szczerego uczucia jest czysta, bo ma początek z nieba. Ledwie zapłakałem, wszystkie moje myśli zmieniły się. Zamiast złorzeczyć bratu, zacząłem się nad nim litować i usprawiedliwiać go żarliwie. Wszak człowiek oziębły w sercu, mówiłem sobie, jest najnieszczęśliwszą istotą na świecie. Zresztą czyliż fenomen moralny może być bez przyczyny? nie.

Jeśli czucie do tego stopnia wyziębło w Karolu, to kto wie, czy nie dla tego, że przeszedł ciężką kolej doświadczenia? Może wielu czerpało z tego serca, a nikt go nie napełniał wzajemnością i źródło uczuć wyschło! Biedny Karol! jak on się musiał pasować z sępami wątpienia, podejrzliwości i chłodu moralnego póki mu nie pożarły serca! Zamyśliłem się głęboko. Ha! zawołałem po chwili, kiedy skwar gwałtowny wysuszy źródło, wszakże to samo słońce topi śniegi na szczycie blizkich gór, a niebo zsyła deszcze, ażeby nowe wody naciekły do źródła i żeby nie było suchem łożyskiem. Czyliż religia nie jest dla strapionego serca także promieniem słońca i rosą niebieską, które żywią i podsycają w niem źródło uczuć w cierniach żywota? Miał więc środek, miał oręż do walki, nie powinien był upaść. I znów pogrążyłem się w dumy. Przypominałem sobie dziecięce lata Karola. Miał matkę dobrą, ale lekkomyślną, wietrzną, światową kobietę, która sama będąc mało bogobojną, nie wiele też zwracała uwagi na syna. Piastunki uczyły go pacierza; matka słuchała z próżnością, jak go recytował, ale nigdy nie złożyła mu dziecięcych dłoni do modlitwy.

Stąd pierwszy początek obojętności religijnej, zaniedbanie modlitwy i obrządków kościelnych, w tym wieku kiedy ziarno ewangeliczne najskuteczniej bywa posiane na owoc miłości Bożej. W szkołach, wśród pustoty młodzieńczej bez bacznego oka matki, obojętność religijna jeszcze więcej się powiększyła. Nakoniec w następnych latach, kiedy dojrzalszy rozum i w części moje uwagi naprowadziły go na drogę, że religia jest jedyną rękojmią szczęścia na ziemi, jedynym punktem oporu w życiu, pociechą w cierpieniu i nadzieją za grobem, Karol z zapałem porwał się do teologii, oznajmił się z wiarą i utwierdził się w niej; ale z opieszałości nie poszedł dalej i tyl-

ko wyrzekał często, że nie może w sobie wzbudzić miłości. Pohamuj ciało, mówiłem mu, zniszcz w sobie stopniowo jedną wadę po drugiej, pełnij ściśle obowiązki kościelne, i ufaj w Bogu, a dopomoże ci. Oczy Pańskie nad sprawiedliwemi, a uszy Jego ku prośbie ich, mówi św. Piotr. Karol sto razy zaczynał i sto razy porzucał. O! teraz pojmuję wszystko, rozumiem jego lodowatą oziębłość, dziwactwo, zgryzotę. Ten człowiek ma religię tylko w głowie, ma przekonanie, ale mu schodzi na miłości, to jest na religii w sercu, bez której podług słów św. Pawła, człowiek jest jako miedź brząkająca. Objąłem myślą wszystkie cierpienia takiego stanu duszy i uczułem w sobie niewypowiedzianą żałość nad jego położeniem moralnem. Zapomniałem mojej urazy i czując się w siłach przenieść co tylko może być najboleśniejszego, postanowiłem poświęcić mu się zupełnie, pragnąc ulżyć cierpieniom jego ciała, pocieszyć zbolałą duszę. Wyjechałem natychmiast do hotelu, gdzie mieszkał.

III.

Przyjeżdżam, wpadam na schody, dzwonię, i cały zdyszany, z progu już krzyczę na lokaja Powiedz prędzej bratu, że ja przyjechałem

— A skąd pan przyjechał? zapytał lokaj roztargniony.

— Z domu, z mojej kwatery, z Podwala, odpowiedziałem niecierpliwie. Sługus wytrzeszczył na mnie oczy, snać nie wierzył, żeby dopiero po trzech miesiącach stawiał się brat do brata z pierwszą wizytą wszakże kiwnąwszy głową, zwolna popłynął przez salę do sypialnego pokoju.

Chodzę, chodzę, chodzę po sali, niecierpliwie mnę kapelusz w ręku, chciałbym minuty ścisnąć w jakiej parowej prasie, żeby z nich zrobić sekundy, nareszcie wraca lokaj i rzecze:

— Pan prosi pana doktora.

Nie zauważyłem tego nowego ostrzeżenia i wchodząc do chorego, biegłem rzucić mu się prosto na szyję i uścisnąć go po bratersku; lecz Karol dostrzegł mój zamiar i wprzód nim zrobiłem kilka kroków, zawołał głuchym, ochrypłym głosem:

— Doktorze!...

To fatalne słowo dotknęło mnie boleśniej, jak gdyby mi kto nóż wcisnął w piersi. Zatrzymałem się na miejscu, jak wryty, wytrzeszczyłem na niego oczy i chciałem mu wypowiedzieć, ile mnie oburzało tak dziwaczne ze mną postępowanie; ale spojrzawszy na postać tego nieszczęśliwego ochłonąłem natychmiast z gniewu.

Biedny Karol, obłożony poduszkami siedział w wolterowskiem krześle blady, wyschły jak szkielet z z wpadłemi oczyma, w których grało jakieś martwe światło, z kośćmi sterczącemi na zwiędłych jagodach i znamieniem śmierci we wszystkich rysach twarzy. O! mógłżem być tak zatwardziałym, żeby prawie konającemu bratu robić wyrzuty?... nie, niema człowieka, coby się zdobył na taki bezecny uczynek! Stałem porażony tym okropnym widokiem i sam nie wiedziałem co począć dalej.

Karol kilka minut trzymał na mnie ostry badawczy wzrok i snać dostrzegł głębokie wzruszenie w mej twarzy, widać znalazł mnie lep-

szym, jak się spodziewał, bo jakiś boleśnie sarkastyczny uśmiech ożywił jego fizyognomię; wyciągnął do mnie suchą rękę i rzekł:

— Jak się masz? bracie! Ha! Po co tu pytać? Tyś zdrów, czerstwy, opasły jak mecenas; widać, że głowa nie pożera ci brzucha, mając dość innych pokarmów. Co ja, to mam się bardzo źle, sam widzisz: mógłbym, jak Ziska przeznaczyć moją skórę na bęben. Opatrzże mnie suchotnika, powiedz otwarcie, czego się mogę spodziewać?

Oto braterskie przywitanie po 12 latach niewidzenia się! — pomyślałem sobie. Litość walczyła w mem sercu z oburzeniem, ale to trwało nie długo i w sercu zostały czyste, braterskie i chrześcijańskie uczucia. Opatrzyłem bacznie Karola, wypytywałem go o wszystkie okoliczności tyczące się choroby, zamyśliłem się i rzekłem:

— Karolu! istotnie masz suchoty. Stan twój wymaga heroicznych środków, na które ja sam jeden nie chciałbym się decydować. Pozwol mi poprosić kilku medyków na consilium.

— Nie ma po co — odpowiedział Karol obojętnie. — Ci panowie mieli mnie już wszyscy w swoich rękach i nic nie zrobili pojedyńczo, a zatem i razem zebrawszy się nie wiele więcej uradzą. Powiedz, jak długo wypadnie mi jeszcze cierpieć? powiedz otwarcie, jak ci się zdaje?

Milczałem. Brakowało mi odwagi powiedzieć mu, że śmierć stoi już u wezgłowia jego łóżka.

Uratować tego człowieka było rzeczą zupełnie niepodobną. Miesiąc, może półtora, więcej mu nie zostawało do życia; cały organizm rozprzęgał

się, zwyczajnie jak w ostatnim peryodzie suchot płucowych.

Tymczasem Karol wlepił we mnie badawczy wzrok, śledził myśl w odcieniach twarzy, wyczytał ją i rzekł stłumionym głosem:

— Rozumiem to milczenie i dziękuję ci, Ksawery, że nie kłamiesz przedemną. Twoi koledzy umieją tak mówić, że z ich gadaniny nigdy nie mogłem się domyśleć, do jakiego stopnia doszła moja choroba.

Zatrzymał się chwilę, potem dodał:

— A więc prędko wszystko się skończy... śmierć!... w 30 roku życia!... i szeptał jeszcze coś z cicha, czego nie mogłem dosłyszeć. Wkrótce opanowała go niemoc, zakrztusił się, zadzwonił na służącego i powiedziawszy mi:—Przyjdź jutro rano, Ksawery, tylko bez towarzyszów — położył się do łóżka.

Zgnębiony żalem i tą tajemniczą, tą dręczącą obawą, która burzy nam pokój duszy, kiedy przeczuwamy śmierć drogiej dla nas osoby, wyszedłem wolnym krokiem od Karola. Ta myśl, że po długiej rozłące spotkałem brata jedynie dla tego, żeby mu przygotować mogiłę, padła jak kamień na moje serce. Czułem tem większą boleść, że Karol, co mi zawsze był drogim mimo wszelkich dziwactw jego postępowania, mógł umrzeć z tą oziębłością dla mnie, na którą nie zasłużyłem i której nie pojmowałem wcale. Pragnąłem z całej duszy przekonać go o mojem przywiązaniu.

— Czy odwiedza kto twego pana? — spytałem służącego w sali.

— Nikt, oprócz doktorów i wczoraj był ksiądz—odpowiedział służący.

To samotnictwo zdziwiło i wzruszyło mnie razem. Wiedziałem, że miał mnóstwo znajomych w Warszawie.

Każde wyłączenie się człowieka myślącego ze społeczności ma w sobie coś solennego i rodzi w nas silne współczucie, a cóż jeśli krom tego dobrowolny samotnik pasuje się jeszcze z cierpieniem! Jest to rodzaj męczeństwa, o którem nie można pomyśleć obojętnie. Łzy pociekły mi po twarzy. Siadłem na kanapie i powiedziałem służącemu, że będę nocował u brata.

— Ach to dobrze—zawołał mocno ucieszony Maciej—bo prawdziwie żal mi mego biednego pana, ale nie wiem sam, co z nim począć. Od dawnego już czasu nie może spać w nocy, robi mu się bardzo markotno i wtedy zwyczajnie każe mi co opowiadać. Czemże ja prostak potrafię go zająć? Ledwo gębę otworzę, znudzi się moją gadaniną i bierze książkę jedną po drugiej do czytania a snać musiał wszystkie już po kilka razy przeczytać, albo może książki nie wiele warte, to żadna go nie zajmuje i rzuca je z niechęcią. Często też pisze coś tam na papierkach, siedzi nad tem z uwagą, a wypisawszy się, rzuca papierki obojętnie pod stół i znów woła na mnie i każe mi bajać co przyjdzie do głowy. No, proszę pana doktora, co to za życie, cierpieć nie tylko we dnie, ale i w nocy? nie pokrzepić się snem, jak inni ludzie? I zawsze taki markotny, że aż serce boli patrzeć na niego, tem więcej, że to takie dobre panisko.

— Czy dawno służysz u mego brata?

— Trzy miesiące z górą.

— Dla czego odprawił tego, co był przed tobą?

— Dla czego? a Bóg to wie! Powiadają, że pan nie lubi trzymać długo jednego służącego, choćby był najlepszy. Widać, że go to nudzi. Jeśli wyzdrowieje to i mnie wkrótce odprawi. A ludzie jakoś na swoją biedę duchem się do niego przywiązują. Ten, co był przedemną, płakał jak dziecko i prosił pana, żeby go nie odprawiał. I mnie nie łatwo będzie odejść, ale cóż robić? Widać, że u pana już tak zaprowadzono.

IV.

O północy Karol zadzwonił. Pobiegłem do niego. Spojrzał na mnie z niejakiem zadziwieniem, przeciągnął ręką po czole, ziewnął i rzekł obojętnie:

— Macieja wołałem, ale kiedyś tak dobry, że nocujesz u mnie, to siądźże. Nie mogę spać... Co to za okropna męczarnia bezsenność!... Opowiedz mi, Ksawery, co też się działo z tobą od czasu naszej rozłąki?...

Opowiedziałem mu w kilku słowach całą moją historyę. Życie moje było tak ubogie w wypadki, tak ciche i spokojne, chociaż nie bez mozołu i cierni, że prawdziwie nie miałem o czem długo mówić!

Karol zamyślił się, potem rzekł:

— Jak widzę, dusza twoja była zawsze tak zdrowa, jak i ciało. Ze mną działo się zupełnie inaczej.

Prosiłem go, żeby mi opowiedział swoje życie.

— Po co rozgrzebywać ten popiół? — odpowiedział Karol smętnym głosem — W każdej

powieści, a nawet w dziejach, wypadki tyle mają ceny, o ile prowadzą do jakich ważnych wniosków. Na co ci wiedzieć, gdzie byłem? co robiłem? kogo znałem? i t. d. Musiałbyś te rzeczy kombinować i roztrząsać, żeby dojść do tego, co ci mogę powiedzieć w kilku słowach. Łaknąłem nieustannie spokojności ducha i nie znajdowałem jej; siliłem się załatać jakąś dziurę w sercu, przez którą wyciekało mi szczęście i nie mogłem tego dokonać; dręczyłem się niepojętemi dla mnie żądzami; oczekiwałem czegoś z dnia na dzień i szukałem na wszystkich drogach,—nie doczekałem i nie znalazłem!... słowem, życie moje przedstawiało jakby symptomata jakiejś moralnej choroby... Doktorze! to twoja rzecz znaleźć dla niej nazwisko.

— O mój Karolu! — rzekłem z westchnieniem — znam tę chorobę, spotykałem ją nieraz w towarzystwie, w silniejszym lub słabszym stopniu. Jest to na nieszczęście dość pospolita w naszym czasie choroba, to są suchoty serca.

— Ha! dość trafnie! jednak niezupełnie. Moje cierpienie było większe, bo i umysł pasował się z boleścią. Suchoty duszy byłoby dokładniej. No, panie doktorze, a jakież przepisujesz lekarstwo od tych suchot?

— Jest tylko jedno, ale pewne, religia; to jest: przekonanie w umyśle, miłość w sercu i wylanie obojga w uczynkach. Człowiek, który z pokorą i ufnością w Bogu używa tego lekarstwa, uważa życie ziemskie za czasową pielgrzymkę i chociażby była najboleśniejszą, nie traci nigdy pokoju ducha: „W miłości nie ma bojaźni, mówi Jan św. apostoł, gdyż bojaźń ma utrapienia; a kto się boi, nie jest doskonałym w miłości.“

— Szukałem tego lekarstwa... — rzekł Karol — ale byłem zanadto oddany światu, żeby je znaleźć. Czułem jednak, że błądzę; o! głęboko to czułem, i nieraz kiedy przesyt albo niespokojność dręczyły mą duszę, wołałem do Boga z rozpaczą o promień łaski niebieskiej, coby mi ogrzał serce miłością, lecz wołałem jak próżniak, który nie chcąc pracować, żebrze, i dla tego niebo nie wysłuchało mego głosu. A bez tego, czemże było moje życie? Błądziłem ciągle po manowcach, sam nie wiedząc, gdzie biegnę? i czego szukam? podobny do okrętu, który straciwszy igłę magnesową, krzyżuje ocean w różnych kierunkach po woli fal i wiatrów, pasuje się z burzami i nigdy nie wie, gdzie go zaniosą. Rozum i honor zachowały mnie od zmazy; imię moje było zawsze otoczone szacunkiem towarzystwa, w którem mnie los postawił; ale w duszy ileż to razy nazwałem siebie fałszywym, podłym, okrutnym, nikczemnym człowiekiem! Padałem z błędu w błąd, ze słabości w słabość, z męczarni w męczarnię; szukałem ciągle nowych wrażeń, żeby odurzyć tęsknotę serca. Chęci i żądze moje ciągle się zmieniały. Ani przyjaciel, ani kochanka nie mogli mnie długo zajmować. Serce moje było w pewnym rodzaju zimnej egzaltacyi, której wybuchy dawały drugim tak fałszywe o mnie pojęcie, że uważali mnie za człowieka czułego i przywiązali się do mnie. Ja sam łudziłem się często, upędzając się za marami miłości, przyjaźni i sławy, ale wkrótce spostrzegłem z rozpaczą, że mniemana czułość była nie więcej, jak drażliwość nerwów, albo szał gorączkowy, chorowite wzruszenie serca, bez stałej osnowy, a zatem fałszywe i nietrwałe. Żal mi tych ludzi, co zbliżali się do

mnie. Ja byłem jak żelazny piecyk, co chwilę grzeje mocno, a potem mrozi rękę, która się do niego dotknie. Nikt nie przeniknął do głębi mej duszy, nikt mnie nie znał!

Choroba moja przeszła wkrótce i do umysłu Myśl zaczęła szukać także coraz nowego pokarmu i przeżuwszy go, rzucała z niechęcią. Przechodziłem od jednej nauki do drugiej, zgłębiłem jedne więcej, drugie mniej. Każda z nich zajmowała mnie mocno, póki nie doszedłem do stałych o niej pojęć, póki nie wyczerpałem przedmiotu lub ciekawości; a potem każde przeczytane dzieło stawało się dla mnie obojętnem. Laplace tak samo jak Byron, Cuvier jak Tacyt i Kant, jak Rabelais. I nie mogło być inaczej. Wszak książki są to ludzie z papierowem ciałem i każdy postępuje z niemi tak samo, jak ze zwyczajnymi ludźmi. Znudziło mnie wszystko; straciłem bodziec do pracy, wpadłem w rozumne lenistwo, najgorsze ze wszystkich rodzajów próżniactwa i zostałem zupełnie bez obrony przeciw temu robakowi, który mi toczył serce.

Nie lubię w ogólności długich dysertacyi w przedmiotach moralnych. Świat jest tak dziwnie stworzony, że w materyi jest więcej niż ma teorya, jest mądrość. Dla tego używam często porównań; to krócej i dobitniej. Oto naprzykład: wracając do mojej biografii, widzę, że mógłbym porównaniem dać ci dokładne o mem życiu pojęcie. Jak w suchotach piersiowych powietrze wciągane w chorowite płuca, zamiast ożywiać organizm ciała, coraz więcej go niszczy, tak w suchotach duszy wrażenia życiowe, padając w głąb schorzałego ducha, wytępiają w nim pierwiastek niebieski i niszczą życie moralne.

Skończywszy, zamilkł.

— O Karolu! — zawołał — dla czegóżeś?...

— Wiem, co chcesz mówić — przerwał Karol niecierpliwie — będziesz deklamował o mojej oziębłości dla ciebie, o przerwie listowania, dla czego nie szukałem pociechy i rad u brata? i t. d. Daj pokój! nie mam ci na to, co odpowiedzieć. Oziębłem, no, cóż robić? stało się, a kiedy się stało, to nie chciałem udawać z grzeczności, że się nie przemieniłem, bo widzisz, mój Ksawery, po kilku latach życia zrobiłem sobie postanowienie wyjąwszy obowiązkówspo łecznych nigdy nie czynić tego, co mnie nudziło, ani ma rzyć o tem, co wiedziałem, że nie jest prawdą.

— Ja myślę — rzekłem, uśmiechając się — że każdy ma ten zwyczaj.

— Gdzie tam! Widać, że mało obserwowałeś ludzi. Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, a człowiek w naszych czasach, zrobił z siebie małpę. Większa część czynności ludzkich, pochodzi z małpiarstwa. Człowiek, nie zdając sobie rachunku, naśladuje drugich, zwodzi samego siebie, smuci się i egzaltuje na cudzy manier.

— To mogą czynić tylko dzieci...

— Mylisz się. Dla dzieci małpiarstwo w ogólności pożyteczne, bo inaczej jakżeby się nauczyły jeść, pić, chodzić i mówić? Ale w ludziach dojrzałych ta wada jest płaska, i często zgubna. Przejdź myślą swoich znajomych, czyliż to jeden z nich z małpiarstwa osobom żyjącym, a nawet bohaterom powieściowym nagina swoje życie na ich ład? pozbywa się samobytności, wspomina

uczucia, których nigdy nie czuł, poetyzuje to, co go w istocie nudziło i śmiesznie kłamie przed swoją własną personą?

Nie jeden, spędziwszy najprozaiczniej dziecinne lata, przeszedłszy przez nudne miłostki, przeczytawszy drzemiąc jaki poemat, który mu zachwalono, albo wycierpiawszy nędzę obojętnie jak osieł, marzy potem, idealizuje te płaskości, i powiada drugim o błogich chwilach młodego wieku, o głębokiej miłości, o cudnej poezyi i strasznych cierpieniach, których kiedyś doświadczał.

Z małpiarstwa ludzie często chcą być kochani jak drudzy i zawiązują romanse bez wewnętrznego uczucia, chcą mieć tęgą głowę i piją, chcą uchodzić za nieustraszonych i pojedynkują się i t. d. Sądzę więc, że to jest niezła rzecz, kiedy człowiek dobrze się rachuje sam z sobą i nie robi tych niedorzeczności.

— O jakże zimna twoja filozofia, mój Karolu! Wolałbym, żebyś był za przykładem drugich, nie zrywał związków z bratem, chociaż się stał dla ciebie obojętnym.

— Może to być doktorze! ale do czegóż nas doprowadzi ta pusta rozmowa? Wróćmy lepiej do małpiarstwa. Kiedyś, będąc na wsi, zrobiłem ciekawe doświadczenie nad owcami. Kiedy otworzono owczarnię, podstawiłem we drzwiach pierwszej owcy kij przed nogi, i gdy przez niego przeskoczyła odszedłem. Cóż powiesz na to? wszystkie owce, ile ich tylko było, skakały wylatując z wrót, jak gdybym trzymał im kij, i czyniły to rozumie się nie z potrzeby, ale dla tego, że pierwsza owca podskoczyła na tem miejscu. Otóż towarzystwo jest taką samą owczarnią. A teraz bądź zdrów. Sprobuję, czy mi się nie uda zasnąć.

V.

Nazajutrz rano, Karol całą godzinę rozmawiał z księdzem, potem modlił się gorąco. Gwałtowny, bolesny kaszel przerwał mu modlitwę. Kiedy wszedłem do niego przywitał mnie łagodnie, rozmawiał o religii, o życiu przyszłem i próżności wszystkiego na świecie. Obrok duchowy jeszcze ogrzewał jego serce i bijąc promieniami niebieskiego światła, rozjaśniał, podwyższał i barwił myśli, które umysł wyrabiał w tej chwili. Widziałem wyraźnie, że ta potężna głowa zgięła się z pokorą przed uczuciem prostego kapłana, i żal mi się zrobiło mądrości ludzkiej. Ognisko duszy jest niezawodnie w sercu! Cały dzień był dość spokojny i przypominał sobie jasne dni życia, co nas wciągnęło w długą rozmowę o domu rodzicielskim i czasie naszej młodości.

W nocy lodowaty jego Demon znów wziął nad nim górę. Wpadł w zwyczajny swój humor, zrobił się obojętny, niespokojny, zgryźliwy, nudny. Rozmowa jego nie zatrzymywała się długo na żadnym przedmiocie; mięszał wszystko, zaczynał i nie kończył; zamiast rozumowania, po większej części drwinkował, rzucając sarkazmy tchnące jakąś odrętwiałością, chłodem zgnilizną uczuciową. Wypisuję tu z jego zdań te, które bez wyraźnej przykrości, mogłem sobie przypomnieć

Jeżeli życie człowieka jest podróż od kolebki do grobu, to wyznać należy, że nikt jej nie odbywa w prostej linii, sumiennie i bez straty czasu.

Naśladujemy żaków, którzy idąc do szkoły wybierają najkrętsze drogi, zatrzymują się wszędzie, gdzie się można pogapić, biegną w stronę za motylem, żeby go przypiąć na czapce, i jako ozdobę nosić na głowie, robią psoty żydkom, słowem, myślą o wszystkiem, wyjąwszy o tem, że im trzeba iść do szkoły.

Takim sposobem żaki i ludzie robią dziwaczne zygzaki, i często strudzeni bieganiną, żałując niedokończonej pustoty, niespodziewanie stają u mety.

Śledźcie naturę, a zobaczycie ścisłą sprawiedliwość. Jeśli ta matka skrzywdzi człeka w jednym względzie, to wynagradza mu krzywdę w drugim. Tak np. ślepy lepiej słyszy albo czuje palcami, głupi bywa zdrów jak nosorożec. Kto często choruje to za to bez niebezpieczeństwa; kto rzadko to ciężko; kto ma wielką pamięć, to mniej innych zdolności umysłowych i t. d.

Wszystko to powinnoby nas naprowadzić na tę myśl, że sprawledliwość wcale nie jest pojęcie względne, ale zakon zasadniczy, bez któregoby świat się nie ostał.

Nieraz pewno widziałeś, jak pies, zwyczajnie młody szczeniak, kręci się na miejscu w kółku, usiłując uchwycić zębami koniec własnego ogona? i mówisz mimowolnie: głupia bestya, a wszakże pies w innych przypadkach bywa mądry.

Umysł większej części młodych ludzi karmi się prozą, serce wyrywa się do poezyi, i tym bie-

dakom zdaje się, że te dwie połówki zlepione razem mogą uformować coś lepszego, jak nędzną ramotę! sądzę, że to to samo, co uzbroić nogi kaloszami i wejść do salonu z miną człowieka, który przyjechał w karecie! Biedni spekulanci! wszakże wychodząc, musicie zabrać z sobą swoje obłocone kalosze i wędrować piechotą.

Oprócz pospolitego ryczałtowego kłamstwa, które każdy uważa za wadę i cechę dusz bezsilnych lub zepsutych, jest jeszcze drugi rodzaj łgania, który można uważać za ekstrakt subtelny z pierwszego. Ten ekstrakt łgarstwa destyluje się nieustannie z człowieka dla zadowolenia sekretnego głosu miłości własnej, dla durzenia najbliższych znajomych, przyjaciół żon, czytającej publiczności, i wreszcie dla poetyzowania płaskich wspomnień własnego życia. Jest on tak subtelny, że go często nie dostrzega sam nawet destyllator.

W niektórych miejscach używają psów do obracania pieczeni na rożnie. To biedne stworzenie patrzy całą godzinę na wyborną sztukę mięsa, i wie, że jej nie liźnie, a jednak, wróciwszy do swej budy, nie narzeka na ludzi, nie pisze rozpaczających elegij i nie odejmuje sobie życia. Zdaje się, że ten fakt zasługuje na uwagę.

VI.

Na drugi dzień, Karol całe rano był nadzwyczaj roztargniony. Widać było, że jakaś myśl zajmowała go wyłącznie; w rozmowie, w gestach,

jakaś niespokojność, niecierpliwość, zły humor Co chwila spoglądał na zegarek i krzywił się.

— Czy oczekujesz kogo, Karolu?—spytałem

— Widzisz, że czekam — odpowiedział niechętnie—czekam księdza. Miał był o ósmej, a oto już dziesiąta, a niema go.

— Pewnie mu co przeszkodziło.

— Pocóż mi tłómaczysz? Dziecko się może domyśleć takich rzeczy. Rozumiem bardzo dobrze, że kiedy nie przyszedł, to pewnie zdarzyła się jaka przeszkoda, a jednak mnie to gniewa.

— Jeśli chcesz, to ja pojadę po niego.

— At, co tam! nie potrzeba. Gdybyś mógł dmuchnąć tak sztucznie, żeby natychmiast stanął przed nami, byłbym ci wdzięczny.

Uśmiechnąłem się mimowolnie na to dziwactwo.

— Śmiej się, doktorze — rzekł Karol. — I jabym się śmiał, gdybym był na twojem miejscu. Ja mam mnóstwo takich dziecinnych niedołężności w swoim charakterze. Jest to dziwnie pojmować rozumem niedorzeczność takich przywar, a jednak być całe życie pod ich wpływem, cierpieć przez nie, skrywać je przed światem, gardzić samym sobą i nie mieć nigdy dość woli, żeby się ich pozbyć... Widzisz, doktorze, ja jestem człowiek z niecierpliwą żądzą, osobliwie kiedy wiem, że mogę czegoś żądać bez wyrzutu sumienia. Każda chwila zwłoki lub oczekiwania staje się dla mnie męczarnią. Cały przeciąg czasu od powzięcia zamiaru, choćby szło o dzieciństwo, o bagatelę, jest dla mnie okropną katuszą. Jeśli chcę co wiedzieć, poznać, kupić, muszę to natychmiast wykonać, bo dopóki nie wykonam, nie mogę o czem innem myśleć, jestem niespokojny, roztargniony, gniewam

się i tem więcej cierpię, że w tym samym czasie oburzam się na siebie za to głupstwo. Ileż to razy wtenczas, kiedy jeszcze nie miałem zbywających pieniędzy, kiedy żona i dziecko ich potrzebowały, traciłem ostatni grosz na fraszki, których mi się nagle zachciało. Ileż razy ta pustota zawracała mi głowę, kiedy byłem zajęty obowiązkiem, kiedy czytałem jakie ważne dzieło, albo kiedy rozmawiałem z osobą do mnie przywiązaną! i czy uwierzysz? rzucałem książkę, człowieka, kobietę, nie słuchałem, co mi mówili i marzyłem tylko o owej pustocie! Gdyby ta porywczość do drobnostek sprawiała mi przynajmniej trwałą przyjemność, to bym sobie jeszcze wybaczył; ale byłem podobny do dziecka, które dobija się igraszki, a jak weźmie w rękę, to rzuca obojętnie. Czy pojmujesz takie dziwactwo?

— Każde dziwactwo jest niepojęte, inaczej nie byłoby dziwactwem.

— Powiem ci drugie. Mam z łaski Boga dość dobrą głowę. Śmiałem się całe życie z zabobonów, wróżbiarstwa i guseł; mógłbym był napisać filozoficzny traktat o tym przedmiocie, a sam byłem zawsze pod wpływem tych niedorzeczności. Kiedy mi się śniły dzieci, kiedy spotykałem babę, wychodząc z domu, kiedy mi dzwoniło w uchu i t. d., czułem mimowolnie jakąś obawę i oczekując napewno jakiej nieprzyjemności, rozumie się, zawsze coś takiego znajdowałem. Czy to nie śmieszne?

— Wierzę, że w. chorowitej duszy mogą być podobne symptomaty

— Słuchajże dalej. Te dwie niedołężności, które ci powiedziałem, dowodzą wszakże jakiegoś nieładu w duszy, powiedzże mi, jakim sposobem

wiązała się z nimi jakaś mania porządku i tystematu we wszystkich drobnostkach codziennego życia? W moim pokoju wszystko musiało leżeć na pewnem miejscu i w pewnej symetryi; prowadziłem zawsze regestra i inwentarze, płaciłem pieniądze jak najregularniej; nie miałem nigdy długu; nieraz wolałbym darować, jak pożyczyć, robiłem nieustannie plany dla systematycznego zajęcia się, wyznaczając na każdy przedmiot stałe godziny, ale prawie nigdy nie doprowadzałem ich do skutku, dlatego, że bez pokoju duszy systematyczna praca jest niepodobna. No, doktorze, powiedzże mi, że byłem całe życie półgłówkiem!

— Żal mi ciebie, Karolu! Te drobiazgowe niedołężności są tem dla duszy, czem robactwo dla ciała.

— Niezłe porównanie. Masz słuszność. To robactwo, od którego nie umiałem się opędzić zupełnie, odejmowało mi pokój. Dziś chęć do tego, jutro do czego innego; żadnej stałej żądzy; ciągła jesienność, posępność, drażliwość, obawa podobna do strachu dziecka w ciemnym pokoju; zupełne rozprzężenie ducha, który tylko w chwilach wysiłku wchodził w karby posłuszeństwa rozumowi.

— Odkrywasz mi szczegóły, o których nie miałem pojęcia...

— Alboż to wszystko?—przerwał Karol—poczekaj, panie doktorze! ty jesteś filozof, dobrze ci wiedzieć dziwactwa ludzkie, a ja właśnie czuję w tej chwili szczególniejszą weną do wywnętrzania się. Chciałbym wszystkie swoje brudy wyrzucić z pamięci.

Zamyślił się nieco i tak mówił dalej:

— Ogień z wodą, poezya z płaską prozą żadnym sposobem się nie jednoczą, a u mnie w duszy wszystko to było razem. Nieraz w najtrudniejszym splinie chwytałem za pióro i na papier wylewały się gorące, miłosne wierszyki, albo dziwnie komiczne i wesołe sceny. Innym razem przeciwnie: w ciągu najczulszej rozmowy, kiedy słowa młodej kobiety burzyły mi krew, w głowie mojej zjawiały się wspomnienia prac naukowych, jakieś matematyczne formuły, albo sarkastyczne koncepty, albo fantastyczne obrazy dziwolągów.

Całe życie marzyłem o tem, co jest najpiękniejszego na ziemi; chciałem być filozofem, poetą, bohaterem, lecz najwięcej, najmocniej pragnąłem kochać, kochać przyjaźnią i miłością; ale kiedy serce moje upędzało się za temi ideałami, wieszże jakie miałem przekonanie umysłowe? Oto, powtarzałem sobie, że sława jest chwilowa błyskotka, a zatem nie warta zabiegów; że interes kojarzy i zrywa przyjazne związki; że prawdziwa miłość, miłość taka, o jakiej marzyłem, nie egzystuje na ziemi.

Tym sposobem serce zawsze pociągało mnie do ludzi, a głowa mnie od nich odstręczała. Nudziłem się bez towarzystwa, i nudziłem się w dobrze znajomem towarzystwie, przeto też najwięcej szukałem tych okoliczności, które mi dozwalały widzieć liczne zgromadzenie, obserwować fizyognomię, słyszeć rozmowy, ale nie zbliżać się do nikogo. Pragnąłem kochać, nie mogłem obojętnie spojrzeć na żadną młodą kobietę, i natychmiast myślałem sobie: ach! gdyby ona mnie kochała. Zazdrościłem wszystkim, którzy kochali lub byli kochani. Stroniłem od kochanek i żon, i prawie czułem do nich nienawiść za to, że nie mnie kochały lecz kogo innego. Zdało mi się, że każda

z nich jest moją nieprzyjaciółką. Podeszłe kobiety nie miały żadnej ceny w moich oczach. I przy tym gwałtownym pociągu do kobiet; długo byłem nieśmiałym, a potem bez żadnego szacunku dla całej płci, która mi się zdała przepełniona śmiesznością i niedołężnościami.

W przyjaźni, w miłości, kilku wzlotami wznosiłem się wyżej jak inni w długim czasie, ale prędko stygłem, nudziłem się, stawałem się obojętnym, gniewałem się na tych, których przed chwilą kochałem, jak gdyby mnie zdradzili; i jeśli obrazy ich trzymały się w mojej pamięci, to były to nieprzyjazne dla mnie widma. Czułem do nich niechęć i wstręt tem większy, im silniej ich przedtem kochałem. Oto jest okropny stan, któregom nigdy nie pojmował.

— Zwyczajnie jak w suchotach moralnych, rzekłem Karolowi. Inaczej być nie może, kiedy człowiek żyje wyobraźnią, bo za wszystkich ziemskich rzeczy wyobraźnia najwięcej się zapala, ale najprędzej też ziębnie. I kobiety cię kochały?...

— O, to mi przepowiedziano jeszcze w młodości!

Ciebie już wtedy w domu nie było. Pewna wdówka znana z kokieteryi, zapatrzywszy się raz na mnie, rzekła do mojej matki: Ten chłopiec ma tak dziwne oczy, jakich jeszcze nie widziałam! Kiedy dorośnie, pewna jestem, że będzie miał wielką władzę nad kobietami. — Zdanie wdówki w tym przedmiocie miało pewną wagę; zostało mi dotąd w pamięci, dla tego, że istotnie w części sprawdziło się. Ale ta rozmowa ciągnie się zbyt długo, znudziłem się. Pogadajmy o czem innem.

Potem mówił o rzeczach naukowych, zaciekał się w badania; ani o sobie słowa.

VII.

Nie ma żadnego ratuuku, ten człowiek musi wkrótce umrzeć!

Ale jakież to męczarnie moralne poprzedzają zgon człowieka, nie mającego w sercu religijnego czucia!... włada zupełnie rozsądkiem, wierzy w Boga, nieśmiertelność duszy, pewny jest tego, że za mogiłą zaczyna się drugie życie. i lęka się tego życia, i szuka w sobie pociechy, i z rozpaczą nie znajduje żadnej!... Jeśli smutnem było jego życie, koniec egzystencyi jest jeszcze okropniejszym.

W nocy dręczony bezsennością, Karol zawołał mnie i rzekł słabym głosem:—Chciałbym pogawędzić z tobą, ale mnie to męczy.

Ofiarowałem się czytać mu jaką książkę.

— Co tam książki!—zawołał natężając głos, który głuchem echem brzęczał w schorzałej piersi, co czytanie! to rozmowa z trupem! W całem życiu przekładałem mowę żywego człeka nad najmędrsze książki. Upodobanie do gawędy z dzieciństwa nigdy mnie nie opuszczało, i mam uprzedzenie, że to nie kompletny człowiek, kto gawędzić nie lubi. Ale ot, bieda, nie wiem sam o czem mówić; widać, że jestem mocno słaby.

Lampa ciemno się pali, podkręć knot do góry... No, cóż? Alboż to tak trudno znaleźć przedmiot do rozmowy? Będziemy mówili o lampach, o gazie, o świecach... Między rozumnymi ludźmi

każda drobnostka prowadzi do ważnych uwag. — I patrzał na mnie ironicznie, czekając piewszego słowa.

— Zaczynaj sam mówić, Karolu! rzekłem uśmiechając się, dla mnie w lampie jest tylko olej, nic więcej.

— Doktór jesteś systematyk, dla tego nic więcej nie widzisz. A dla mnie światło lampy, gazu, albo świecy, jest rodzaj szczęścia. Najmilsze moje dumania, najprzyjemniejsze chwile samotnictwa, najzdrowsze myśli, zachodziłem zawsze wieczorem, przy świetle. Częstokroć po całodziennej nudzie lub przykrościach, kiedy służący wniesie światło do pokoju, wszystko przychodzi do porządku i rozjaśnia się w mej duszy.

Rzęsisto oświecony salon zawsze czynił na mnie przyjazne wrażenie, a przeciwnie blask słońca, gwiazd i księżyca podobał mi się tylko w wyobraźni, a w naturze słońca nie lubiłem, jutrzenki nigdy nie widziałem, gwiazdy, księżyc były dla mnie zupełnie obojętne. Cóż to znaczy?

— Zawsze toż samo, brak czucia.

— Śmieszny z ciebie człowiek! wszystkie drobnostki podciągasz pod szubienicę swojego systematu.

— Wybacz Karolu, niektóre drobnostki w pewnych okolicznościach mogą mieć wielką wagę. Znałem niegdyś człowieka, który nie lubił patrzeć na kobiety zamężne w tym czasie, kiedy postać ich staje się nieforemną, i dziwił się, dla czego one wtedy pokazują się w towarzystwie? Była to drobnostka, a jednak powziąłem z niej przeczucie, że ów człowiek będzie złym mężem, i istotnie nie omyliłem się — był dla żony twardy jak kamień.

Karol ugryzł się w wargę, snać ubodła go ta uwaga.

— Wróćmy do słońca, rzekł po chwili. Dlaczegóż masz mi za złe, że mu się nie kłaniałem, jak Gwebr? skąd widzisz w tem brak czucia?

— Mój Karolu!—rzekłem—przypatrz się prostaczkowi, człowiekowi z czuciem, wreszcie dziecku, wszak wszyscy lubią to słonko, które oświeca i grzeje świat Boży. Smutna to niedziela, smutniejsze święto, jeśli słonko nie świeci. Zimową porą, kiedy Bóg da święty dzionek, nawet skrzywione serca mieszkańców stolicy radują się, i na ulicy widać mnóstwo spacerujących. Kto ze starców, przy schyłku spokojnego życia, nie wspomina majowego słońca swojej młodości? Kto z kochających patrzy obojętnie na księżyc i niebo usiane gwiazdami? O, wierz mi, Karolu, że upodobanie w naturze wcale nie jest uczuciem przypadkowem, jest to znak czystego serca i iskierka tej miłości. którą człowiek wielbi Stwórcę,

— Natura była dla mnie tylko niepojętą zagadką, zawołał Karol. Zaciskałem się w tajniki jej życia, dziwnie doskonale krążącego w milionach rozmaitych kanałów. Newton i wszyscy uczeni objaśnili nam tylko najprostsze zagadki przyrodzenia. W jednym listku trawki, w małym pająćzku. jest więcej niepojętego jak w całym systemacie grawitacyi.

— Mówisz jak człowiek myślący — rzekłem z westchnieniem. — Gdybyś miał prawdziwe czucie, powiedziałbyś, że tajemnice listka, trawki lub małego owadku, mogą w nas wzbudzić tyleż głębokich wrażeń i kornego poddania się woli Bożej, ile cała mechanika niebieska odgadnięta przez astronomów.

Karol zamyślił się w milczeniu, potem rzekł:

— Słuchaj doktorze! opowiem ci jedno z moich doświadczeń nad pająkami.

Wiesz. że pająki nie chodzą po wodzie. Otóż raz nalałem wody w miednicę, zrobiłem krążek drewniany z pręcikiem przymocowanym prostopadle do jego płaszczyzny i puściłem na środek wody, jak czółenko z masztem; na wierzch tego masztu posadziłem pająka, i zacząłem obserwować, co też zrobi w tym wypadku? Pająk zszedł naprzód na dół po pręciku; lecz zobaczywszy wodę, wrócił z powrotem, kręcił się długo we wszystkie strony na szczycie masztu, jak gdyby wypatrywał drogę ratunku, nareszcie zaczął snuć z siebie pajęczynę, uformował z niej maleńki kłębek, rzucił go łapkami na brzeg miednicy i po tej nitce co tchu uciekł. Czy wierzysz temu?

— Zupełnie wierzę. Wszak często można widzieć pająki w sitowiu nad wodą. Musi być tym samym sposobem przechodzą z jednej rószczki na drugą.

— Otóż widzisz, doktorze, ten pająk był mędrszy odemnie, bo on potrafił uniknąć zimnej wody i wyratował się własnemi siłami, a ja przy całym moim rozumie, nie umiałem wysnuć sobie z serca nitki pokoju i zbawienia.

— Mój Karolu!—rzekłem z westchnieniem— powinieneś dziękować Bogu, że przy takim braku czucia nie stałeś się złym i występnym człowiekiem.

— Zdrowy rozum pomógł niewiele—uczucie honoru także. Ustrzegłem się występków, ale bez zasadniczego czucia nawet, dobre moje uczynki nie miały w mojem przekonaniu żadnej ceny. Bo widzisz, naprzykład kiedy spotkałem ubogiego, nie

odmawiałem mu wprawdzie jałmużny, ale dawałem pieniądz obojętnie, jak zapłatę robotnikowi, myśląc tylko o tem, żeby się jaknajprędzej odemnie odczepił; zrobiłem nie jednemu przysługę, ale mnie to zawsze nudziło; pożyczyłem pieniędzy bez kwitu, mniej dla tego żeby dopomódz, jak żeby doświadczyć uczciwości ludzkiej; litowałem się nieraz nad nędzą, płakałem nawet, ale tak samo, jak nad czułą książką, to jest, chwilowo, z drażliwości nerwów, a nie z czucia. W kwadrans po łzach mogłem się śmiać do rozpuku.

Milczałem, rozmowa się ucięła.

— Ty się nudzisz—rzekł Karol po chwili— a ja czuję w sobie dziwny popęd do gawędki. Powiedz mi, jaki przedmiot najwięcej cię może zająć?

— Twoja historya—rzekłem — wszak ja nie wiem wcale, co się z tobą działo od 12 lat.

— Moja historya! Czyliż cię jeszcze nie znudziłem wywnętrzaniem się? Wiesz najważniejszą część mojej biografii, to jest moralną fizyognomię życia; po cóż ci przepatrywać łachmany działalności, które czas nakładał na mnie? Gdybyś chciał napisać o mnie powieść, grosza nie byłaby warta. Temi czasy, dręczony po nocach bezsennością, spisywałem z nudów niektóre wspomnienia z mego życia. Tu, pod stołem, w tym koszu, między śmieciami, leży moja ramota. Jeśli cię bierze ciekawość, możesz sobie jutro wygrzebać te szpargały i przeczytać.

Ta okoliczność do szczętu zniszczyła gawędę, do której mieliśmy przystąpić. Karol przypomniawszy sobie nocne pisanie, a tem samem i życie utonął w dumaniach. Czoło jego układało się stopniowo w fałdy, rysy twarzy skrzywiły się

i oczy stanęły nieporuszone w orbitach. Widać było, że pamięć wywoływała w duszy widma przeszłości i na przekorę woli stawiała je przed sąd rozumu. Zapomniał zupełnie o gawędzie. Ja zaś myśląc, że się nareszcie oznajmię z historyą brata, nie miałem żadnej chęci odnawiać rozmowy. Tak upłynęło dość czasu w zobopólnem milczeniu; nareszcie Karol przerwał je, zawoławszy na mnie:

— Weź prędzej te śmiecie, bo je każę spalić

Kiedy wziąłem kosz z papierami, dodał:

— Znajdziesz bezwątpienia zbyt otwarte wyznanie. Tylko samotne dumy umierającego bywają tak nielitościwie szczere. Póki człowiek zdaleka od grobu, to zawsze albo się zanadto chwali, albo zbyt się gani, co zresztą na to samo wychodzi, tylko jedno jest napisane białemi litrami na czarnym papierze, a drugie czarnemi na białym



Są serca w świecie, które młode lata
Miały szczęśliwe w samym życia kwiecie
Nie mogąc w niebo ulecieć ze świata
Żyją, lecz przecie nie żyją na świecie;
Zanim śmierć więzy cielesne rozkruszy
Pomiędzy niebem a ziemią się wahą
Trzeci świat, inny świat zaczynają
W tym świecie żyją, kochają i marzą



